Nr. 4 | Poznań, dnia 26 Stycznia 1908 r. | Rok XII.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie . . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 35 Telefon Nr. 1465. **Ogłoszenia:** od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.



Ustawa o wywłaszczeniu

została przyjęta przez izbę poselską, jak to już telegramy i gazety codzienne donosiły. Będzie ona jeszcze tematem obrad w izbie panów i jeżeli i tam przejdzie, co jest więcej jak prawdopodobne, natenczas królowi zostanie przedłożona do podpisu.

Podczas obrad w izbie posłów złożył sędziwy prezes sejmowego Koła polskiego p. dr. Szuman oświadczenie, które zawiera wszystko, co o tej ustawie powiedzieć można. Prezes Szuman powiedział, co następuje:

„Jako senior tej Izby i jako prezes Koła Polskiego składam z jego polecenia następujące oświadczenie:

Wobec projektu ustawy, jak niniejszy, który sprzeciwia się konstytucyi i przepisom prawnym w Prusiech i Rzeszy niemieckiej,

który prowadzi do bezwzględnego pogwałcenia ludności polskiej w Prusiech,

który krzywdzi i obraża ją w najwznioślejszych i w najszlachetniejszych uczuciach przywiązania do gleby rodzinnej,

który wstrząsa i podkopuje zasadnicze prawa dzisiejszego ustroju społecznego i podstawy wszelkiego porządku społecznego.

wobec takiego projektu odmawiamy dalszego udziału w rozprawach.

Składamy tu i przed całym światem cywilizowanym uroczyste zastrzeżenie i uroczysty protest przeciwko aktowi gwałtu, ucieleśnionemu w niniejszem przedłożeniu.

Gorzka i bezwzględna krzywda, którą rząd i większość tej Izby ma zamiar wyrządzić bezbronnej mniejszości w tem państwie, musi się sama pomścić na jej twórcach i wykonawcach.

Zapowiedzianą obecnie walkę o naszą glebę ojczystą, w której spoczywają ojcowie nasi i z którą związane są wspomnienia naszej historycznej przeszłości, *tę walkę podejmiemy z niezłomną odwagą.*

Świadomość, że walczymy za dobrą, szlachetną i sprawiedliwą sprawę, wiara, że oraz ponad władcami tego świata króluje Opatrzność Boska, dodaje nam siły i odwagi do zwycięzkiego pokonania i tego nowego ciosu.

Czem jako naród jesteśmy — tem chcemy pozostać i tem pozostaniemy."

Tak jest: Czem jako naród jesteśmy — tem chcemy pozostać i pozostaniemy! Nie zepchnie nas z naszej drogi żadna potęga świata. Nie ma na świecie tej władzy, którąby nam mogła śmierć zadać, którąby unicestwić mogła nasze prawa. Prawo można zgwałcić, lecz znieść go niepodobna. Póki posłuszni będziemy głosowi Boga, który do nas przemawia w sumieniu naszem, póty istnieć będziemy. Dopiero gdy przeniewierzymy się Bogu i sobie, dopiero wtedy śmierć na nas przyjdzie. Nie wróg ją nam podyktuje, lecz my sami podpiszemy na siebie wyrok. Tego zaś nie uczynimy. Gdybyśmy jednak popełnić chcieli tę zbrodnię, natenczas nie warci bylibyśmy ani współczucia, ani ratunku. Byłby to znak, że wyzbyliśmy się charakteru, że nie ma w nas żadnej uczciwej treści, że nie trzymaliśmy się na powierzchni siła istotna i rzetelną, lecz podtrzymywała nas pęcherzyna nadęta czcza agitacya, rozgoryczeniem, próżnościa, nienawiścią. Czas nadchodzi, aby dać dowody, że tak nie było. Należy pokazać, że nie wielkie słowa, nie czczy dym, nie marzenia i złudne nadzieje dodawały nam sił do życia i walki, lecz niezłomne przekonanie o świętości i słuszności naszej sprawy, wiara, co góry przenosi, miłość, co złość wszelką zwycięża, poczucie obowiązku, od wypełnienia którego nic i nikt nas nie zwolni, ani Bóg Wszechmocny, boć to On jedyny ma prawo nakładać ludziom obowiązki i raz je wyznaczywszy, już nigdy ich nie znosi, dając każdemu tyle sił, ile potrzeba, aby wypełnił zadanie.

Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło, mówi stare przysłowie. I tak też będzie z obecną ustawą. Nie podobna dziś należycie określić, w jakim kierunku i o ile ona będzie dla nas zbawienną. Wszyscy jednak mamy to przeświadczenie, że lubo utrudni ona nasz rozwój i dużo szkód i przykrości nam wyrządzi, to jednak nie osiągnie zamierzonego celu, nie wydrze nam z piersi polskości, nie zamieni nas w żebraków i szubrawców. Słusznie też Lew Tołstoi w liście do Sienkiewicza pisze, że więcej ma współczucia dla twórców i wykonawców tego projektu, niż dla jego ofiar, które z pewnością lepszą odegrają rolę, aniżeli pierwsi.

Hakatyści są zadowoleni. W tej ustawie widzą rękojmię powodzenia niemczyzny w naszych dzielnicach. Z tego zadowolenia hakatystycznego najlepiej można poznać, co warta ta ustawa i jaki jej charakter. Obawiamy się, że bardzo prędko nowe niezadowolenie powstanie w obozie hakatystycznym i nowe wołania o nowe środki antypolskie się podniosą. Co prawda trzeba pomysłowości niezwykłej, aby jeszcze coś nowego przeciw Polakom wymyśleć, coby do kompetencyi Prus należało, a jeszcze nie by-

ło smutnem dla nas „prawem.“ Najgoretsze życzenia hakatystyczne, co do wyrzucenia języka polskiego z zebrań i stowarzyszeń, jak również skrępowania prasy polskiej, należą do prawodawstwa rzeszy, gdzie, jak wiadomo, siła hakatystów jeszcze nie przeniknęła należycie, aby mogła rozstrzygać o naszym losie. Miejmy nadzieję, że ustawa o wywłaszczeniu, która przeszła w sejmie wbrew gorącym protestom ze strony centrowców, socyalistów i wolnomyślnych, pobudzi te partye do tem pilniejszej pieczołowitości w parlamencie, aby tę izbę, która naprawdę reprezentuje naród niemiecki przed światem, zachować od infiltracyi hakatystyczno-wszechniemieckiego światopoglądu i uniemożebnić tem przynajmniej wszelką politykę nierównego łokcia i jawnego gwałtu.

Acz pożyteczną jest mowa,
Pohamuj ust swych ochotę;
Srebrnemi mogą być słowa,
Milczenie jest szczerozłote.
Lucyan Siemieński.

* * *

Lekkomyślnością to się dzieje u nas, że sądy z wiatru czerpiemy.
Julian Bartoszewicz.

Gotówką.

Na kredyt brać od kupców i rzemieślników — ten zwyczaj zaprowadzili żydzi, aby pobudzić do lekomyślnego kupowania. Żydom to nie szkodzi, ponieważ mają setne i niesumienne sposoby, aby z procentem dojść do swych pieniędzy i ponieważ żydom za złe się nic nie bierze, bo to żydzi.

Dla tego kupowanie na kredyt jest najwięcej rozpowszechnione pomiędzy Polakami.

Choć właśnie Polacy, jako naród ubogi, mają najwięcej przyczyny aby się strzedz tego zwyczaju, ponieważ szkodzi on majątkowi pojedyńczego człowieka a więc majątkowi całego narodu, który się przecież składa z pojedyńczych jednostek. Skoro wiele jednostek sobie szkodzi, to szkodę ponosi cały naród, bo zawsze będzie narodem ubogim.

Jeżeli kiedykolwiek Polacy przyzwyczają się do tego, aby z reguły płacić gotówką, to będą mieli ogromne źródła dobrego bytu dla każdego pojedyńczego człowieka i dla narodu. To źródło majątku narodowego. Niechaj wszyscy wszelkimi sposobami i bez przerwy starają się o to, aby naród nasz tę prawdę poznał, uznał i do niej się zastosował. Jako jeden ze środków do celu niechaj służy następujący:

Każdy kupiec i przemysłowiec niechaj drukuje na rachunku lub na karteczce do rachunku dołączonej:

Kto płaci gotowką*)
zbogaca
1) *siebie*, bo
a) kupuje z rozwagą, tylko rzeczy potrzebne,
b) chroni się długów,
c) utrzymuje majątek w porządku,
d) wyrabia w sobie charakter,
e) kupuje taniej;
2) zbogaca *kupca i przemysłowca*, bo:
a) chroni ich od długów,
b) pozwala im zakupywać towar taniej, za gotówkę,
c) pozwala im prowadzić interes zdrowy, jasny, nie kłopotliwy,
d) pozwala im należycie płacić pomocników,
e) ułatwia im konkurencją z obcymi;
3) zbogaca *majątek narodowy* bez

*) Takie karteczki w gustownem wykonaniu i na dobrym papierze można nabyć w „Pracy“ 1000 sztuk za 4 mrk. — Przyp. Redakcyi.

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

73)

Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Obok *Stowarzyszenia Ludu Polskiego* działało ustawicznie radykalne *Towarzystwo Demokratyczne* i wysyłało z Francyi do kraju licznych, pełnych poświęcenia emisaryuszy. Na czele tegoż Towarzystwa stała *Cntralizacya*. Obok niej był jeszcze czynny *Komitet Centralny Poznański*, rywalizujący z nią i także wysyłający swoich emisaryuszy [1]).

Dziełem Towarzystwa Demońratycznego było nieszczęsne powstanie roku 1846, pod naciskiem niedoświadczonych zapaleńców przedsięwzięte bez przygotowania i planu i wykonane bez najmniejszej energii. Na naczelnego wodza przeznaczono Ludwika Mierosławskiego. Był to człowiek młody, pełen wybujałej fantazyi, wielce zarozumiały i ambitny, przytem zagorzały mówca i pisarz. Urodzony w roku 1814 w Nemours we Francyi z matki Francuski z domu Natte de Vaupleux [2]) kształcił się w korpusie kadetów w Kaliszu i wszedł do wojska polskiego, a w czasie powstania roku 1831 otrzymał stopień porucznika. Gorliwie oddawał się badaniom wojskowo-historycznym i powołanym został przez rząd francuski na katedrę historyi w Szkole politechnicznej. Pomijając świetną karyerę, jaka we Francyi mu się otwierała, poświęcił ją dla prac patryotycznych. Około roku 1844 wstąpił do Towarzystwa Demokratycznego, a następnie do Centralizacyi [3]). Wezwany przez nią ułożył następujący plan powstania:

— Powstanie obejmie wszystkie dawne ziemie Polski, także Prusy i Śląsk. Walka toczyć się będzie równocześnie ze wszystkiemi mocarstwami rozbiorowemi. Z Galicyi i Poznańskiego będą dostarczane główne siły wojskowe, a z niemi połączy się także wojsko austryackie. Powstanie wybuchnie równocześnie we wszystkich stronach Polski, powstańcy zbiorą się w pewnych punktach i połączą się w oddziały, z których utworzy się wielka regularna armia [4]).

Najlepsi, najdoświadczeńsi patryoci w kraju, patrząc na ten ruch wśród narodu, ruch, który ku końcowi r. 1845 szczególnie szybko wzrastał w Poznańskiem ostrzegali zawczasu i upominali:

[1]) *Centralizacya* rezydowała najprzód w Poitiers (czytaj: Poatie) od r. 1836—1840, później w Wersalu (1840—1847), w Paryżu (1848—1849), wreszcie w Londynie (1849—1862). Najwybitniejszymi jej członkami a zarazem nieustraszonymi emisaryuszami byli: Wiktor Heltman, Robert Chmielewski, Jan Alcyato, Teofil Wiśniowski, gen. Józef Wysocki. Ludw. Mierosławski, Zygmunt Miłkowski i inni. *Komitet Centralny Poznański*, dążący do władzy nad krajem, miał także swych wybitnych członków i emisaryuszy, jak Edward Dembowski, Bronisław Dąbrowski, syn. gen. Henryka i i. — Lewicki, 475, 476.

[2]) Czytaj: Natte de Wople.

[3]) Mierosławski napisał historyę powstania listopadowego po polsku i po francusku, przerobiwszy tylko gotowe dzieła Mochnackiego i Brzozowskiego. W dziele tem potępił wszystko i wszystkich, najzdolniejszych generałów zmieszał z błotem wraz z najnieudolniejszymi, wybitnych mężów odsądził od czci i wiary jako niedołęgów lub działających umyślnie na zgubę ojczyzny, a kreśląc dzieło rzeczywiście stylem świetnym, zyskał sobie sławę znakomitego wojownika i polityka. Tak więc łatwo mianowany został naczelnym wodzem przez Centralizacyę, która w Towarzystwie Demokratycznem wyższych oficerów nie posiadała wcale. — Sokołowski, IV. 1768 (według pięciu poważnych autorów).

[4]) To powstanie rozpoczęte we wszystkich zaborach miało przecież głównie i przedewszystkiem być skierowane przeciwko Rosyi. I dlatego łudzono się, że tak rząd wiedeński jako też i berliński, widząc takie

ofiary ze swej strony, wzmacnia byt narodowy zagrożony przez wrogów.

Ks. R.

N. B. Prosimy inne pisma, aby powyższe słowa przedrukowały. Prasa w tej sprawie ma wielki obowiązek.

Bojkot towarów niemieckich.

Warszawski korespondent hakatystycznej „Schles. Ztg." donosi co następuje: **„Narodowo-polski ruch** przeciwniemiecki, wyrażający się w bojkotowaniu niemieckich towarów, już poczyna słabnąć. Przysłowie: nie taki djabeł czarny, jak go malują, nigdzie się lepiej nie uwydatnia, jak u naszych Polaków w Rosyi. Jeżeli tylko co się poczyna, bądź to z nienawiści, bądź z miłości, natychmiast Polak zapała się do wspaniałej idei; lecz, gdy minie kilka tygodni, pokazuje się, że wielki pożar był tylko słomianym ogniem. Taką jest natura Polaka. Wielkie uniesienie i upadek ducha następują u niego tak nagle i tak często, że tylko w bardzo wyjątkowych razach dochodzi do wytrwałej działalności."

Dalej rozpisuje się korespondent, że o bojkocie niemieckich towarów w Królestwie prawie, że mówić nie można. Istnieje on tylko w gazetach. Towary niemieckie bardzo dobrze utrzymują się na targach Królestwa i to dlatego, że są dobre i tanie.

Słowem Niemcy wcale a wcale nie obawiają się naszego bojkotu i przewidują, że ruch ten prędzej czy później upadnie, podobnie, jak się to stało kilka lat temu, gdy ogłoszono bojkot towarów niemieckich wskutek zajść wrzesińskich.

Jeżeli mamy być szczerzy, to powiemy, że i my nie wierzymy w powodzenie bojkotu. I to nietylko dlatego, że znamy nieopatrzny charakter polski i nasz przysłowiowy słomiany zapał, nie tylko dlatego, że wiemy, iż przeważnie handel w Królestwie i Galicyi jest w rękach żydów, których uważamy za pionierów niemczyzny w krajach słowiańskich tak samo, jak są nimi nawet w Azyi Mniejszej, ale głównie dla tego, ponieważ brak nam naogół rodzimego handlu polskiego, a co zatem idzie i przemysłu swojskiego. Pocieszamy się tem, że w miejsce towarów niemieckich, możemy popierać towar austryacki (który zresztą przeważnie także jest niemiecki), towar francuski, angielski itd.

Bardzo to pięknie, lecz już same geograficzne położenie tych krajów wykazuje, że przywóz odnośnych towarów daleko drożej wypada, następnie, co także jest rzeczą ważną, towary angielskie i francuskie — na ogół biorąc — są droższe od niemieckich dla tego, że są lepsze. Towar niemiecki wprawdzie nie jest dobry i tani, jak twierdzi korespondent „Schles. Ztg.", lecz lichy jest i pozornie tani, w rzeczywistości, biorąc w rachubę jego tandetność, jest drogi.

Na to jednak nie uważa wielka masa konsumentów. Chłop polski stara się kupić tanio, w to, czy towar odpowiada cenie on nie wchodzi; jeżeli będzie mógł jednę i tę samą rzecz nabyć za tańsze pieniądze, nabędzie ją, i nie będzie zważał na argumenty sprzedającego, że droższa w użyciu będzie lepsza, że dłużej wytrzyma, bo środki jego ograniczone i on musi zakupywać najtaniej, chociaż źle.

W tej taniości spoczywa źródło powodzenia towaru niemieckiego. Następnie przemysł niemiecki zastosował

— Co robicie? To są wszystko przypuszczenia urojone, do walki niema ani dość przygotowanych ludzi i zdolnych oficerów, ani broni, ani pieniędzy, znowu ściągniecie nieszczęście na nasze biedne ziemie![1])

Ale tak Komitet Centralny Poznański jak i Centralizacya postanowiły rozpocząć powstanie. Mierosławski przybywszy do Poznania w wigilię Bożego Narodzenia r. 1845 zajmował się organizacyą rewolucyjną i wyznaczał naczelników wojennych. Dla Królestwa przeznaczył Bronisława Dąbrowskiego, syna znakomitego Dąbrowskiego, dla Żmudzi Magdzińskieko, dla Litwy Reera, dla Prus zachodnich pułkownika Biesiekierskiego. Dnia 8 stycznia 1846 r. udał się Mierosławski do Krakowa i tu w jego obecności ustanowiony został Rząd Narodowy, zbiorowa dyktatura, w której skład weszli: znakomity pisarz, filozof Karol Libelt, mianowany przez Komitet poznański; z Galicyi: Franc. Wiesiołowski, po nim Jan Tyssowski; przedstawiciel Rzeczypospolitej Krakowskiej: Ludwik Goczkowski; wyznaczony przez Centralizacyę Jan Alcyato i jako sekretarz Wiktor Heltman. Cała Polska podzielona została na pięć wielkorządztw: Królestwo Kongresowe, Poznańskie z Prusami i Śląskiem, Galicyę, Ruś i Litwę. Te wielkorządztwa dzieliły się na okręgi czyli powiaty, te zaś na gminy. Naczelnicy gmin mieli zwoływać lud po gminach i ogłaszać mu:

> wolność i równość obywatelską, bezpłatne zniesienie pańszczyzny, czynszów i darmochów; przyznanie włościanom własności ziemskiej tych gruntów, które pod jakimkolwiek bądź tytułem posiadali; nadanie pięciu morgów ziemi każdemu, kto jej nie posiada a pochwyci broń przeciwko najeźdzcom, oraz bezpłatne wydawanie soli.

Wybuch powstania naznaczony został na noc z 21 na 22 lutego roku 1846. Obok naczelnego wodza Mierosławskiego, mającego działać w Poznańskiem, mianowani jeszcze zostali wodzami: w Krakowie Józef Wysocki, w Galicyi pułkownik Bobiński. Dnia 28 stycznia powrócił Mierosławski do Poznania i bardzo gorliwie zajął się przygotowaniem wybuchu powstania.

(Ciąg dalszy nastąpi).



głównie nie przeciwko nim, przygotowania, nie będą stłumiać powstania. Takie marzenia wygłaszał publicznie Trentowski w Bazarze poznańskim jeszcze w lipcu r. 1843, powołując się na tajny testament cesarza Józefa, który, zagrożony od Rosyi, miał radzić swym następcom ogłoszenie cesarstwa południowo-wschodniej Słowiańszczyzny, przyczem Niemcy do pomogą we własnym interesie Polakom do odbudowania niepodległego państwa. — Limanowski 265 (według Bron. Ferd. Trentowskiego: Powitanie Wielkopolan, czyli pięć politycznych widzeń. Paryż 1845).

[1]) Obok Mierosławskiego drugim kierownikiem powstania był Edw. Dembowski, majętny syn kasztelana Leona, niezmordowany, zręczny i aż do zuchwalstwa śmiały, nie znający przeszkód żadnych, nie wątpiący o niczem i będący zdania, że byle ogień podłożyć, kraj cały zapłonie i wywalczy sobie niepodległość. Gdy we Lwowie ofiarował Smolce naczelne dowództwo, dowodząc, że 60,000 chłopów złączy się z powstaniem, a odmawiającemu zagroził szubienicą, nieugięty Smolka odpowiedział spokojnie:

— Ta groźba w niczem nie zmieni mego postanowienia, chłopstwo, na które liczycie, przeciwko panom się zwróci; być może, iż będę wisiał, lecz uratuję od zagłady młodzież i tych, którzy nie umieją się liczyć z położeniem!

I odmówiwszy wszelkiego udziału, przeszkodził Smolka powstaniu we Lwowie. W centralizacyi sprzeciwiali się powstaniu Malinowski i Jabubowski, lecz musieli ustąpić pod naciskiem ambitnego i próżnego Mierosławskiego, który w takiem szalonem przedsięwzięciu widział łatwe własne wyniesienie się. — Sokołowski, IV, 1768, 1769.

się do zapotrzebowań ludności zakordonowej polskiej, wyroby jego są tam od dawnych lat w użyciu. Na koniec niemiecki kupiec i przemysłowiec potrafił się dostosować do warunków, jakie znalazł na gruncie polskim: do naszej niepunktualności, niesłowności, niepewności w załatwianiu interesów handlowych, a powodowanej — jak to świetnie Sienkiewicz wykazał — niepewnością dochodów, jakie daje ziemia, z której przeważnie rolnicza ludność polska żyje.

Widzimy więc, że czas, zwyczaj, wygoda i wiele innych warunków złożyło się na to, że przemysł i handel niemiecki zakorzenił się na ziemiach polskich. Dlatego trudną jest rzeczą go wykorzenić i dlatego długo jeszcze wysiłki nasze, skierowane do zrzucenia ekonomicznego jarzma niemieckiego, będą nas narażały na szyderstwo ze strony naszych najserdeczniejszych.

Mimo to nie należy rąk zakładać bezczynnie i poddawać się istniejącym stosunkom.

Twierdzimy, że wszelkie zastępowanie towaru niemieckiego przez inny towar obcy, nie doprowadzi nas do celu, nie wzmoże naszego przemysłu, nie powiększy majątku narodowego. Jedyna droga, jaką pójść możemy i winniśmy, jest starać się w pierwszej linii o rozwój swego handlu. Obojętna jest na razie, jakim towarem handlujemy, *bylebyśmy, a nie obcy nim handlowali.*

Kupiectwo nasze spoczywa w powijakach i to tak dla braku tradycyi w tym kierunku, jak dla braku pieniędzy i ludzi odpowiednich. Jesteśmy społeczeństwem ubogiem, nie dla tego, jakobyśmy nie posiadali majątku, boć majątki u nas są, lecz dla tego, że majątek swój zakładamy jednostronnie w ziemi.

Jeżeli rozpatrzymy się po świecie, spostrzeżemy, że szczęśliwsze od nas społeczeństwa, racyonalniej niż nasze gospodarują swym majątkiem. Nie lokują całego kapitału bądź to w ziemi, bądź w domach, bądź innych gałęziach wytwórczości wyłącznie, lecz starają się podzielić go tak, aby kapitał zbiorowy na wszystkich pracował polach i wszystkie użyźniał. Przeciwstawieniem naszego społeczeństwa jest społeczeństwo żydowskie, które cały swój majątek założyło głównie w handlu, następnie w wielkim przemyśle. Ani my ani żydzi nie tworzymy też społeczeństw ekonomicznie zdrowych.

Powinniśmy zatem dążyć do równiejszego rozdziału naszego majątku narodowego, a ponieważ droga do własnego przemysłu prowadzi przez handel, należy się starać o rozwój kupiectwa polskiego.

Nie można zatem dość usilnie zachęcać naszej młodzieży, aby po zdobyciu jaknajlepszego wykształcenia szkolnego i następnie fachowego, chwytała się zawodu kupieckiego. Szczególniej majętna i najmajętniejsza młodzież mogłaby wielkie na tem polu położyć zasługi.

Może być, że grożące nam wywłaszczenie, przyczyni się do przyspieszenia tego procesu i pozbawiając nas części ziemi, dopomoże nam do raźniejszego rozwoju na drodze handlu i przemysłu. Gdyby wywłaszczenie ten skutek miało, a mieć go powinno, natenczas i z tego zatrutego owocu miód dla nas popłynie. Inaczej będzie ono dla nas ciężkim ciosem i zapowiedzią długiego, powolnego konania.

Wszystko, co tu mówimy o kupiectwie nie odnosi się tylko do naszego małego handlu, lecz do kupiectwa prawdziwego, do handlu w wielkim stylu. Jeżeli chcemy skutecznie konkurować z handlem niemieckim, powinniśmy mieć w wielkich portach i w centrach handlowych kupców i komisyonerów Polaków, którzyby pod względem fachowego wykształcenia i majątkowym dorównywali obcej konkurencyi i mogli jej stawić czoło. Tylko na tej drodze i po długoletniej pracy możemy dojść do tego pożądanego stanu, że mniej ciężko odczuwać będziemy ucisk ekonomiczny niemiecki. Przemysł polski znajdzie się rychło, byleby tylko handel nasz należycie się rozwinął. Środki ku temu posiadamy. Brakowi ludzi, który dziś dotkliwie się nam daje we znaki, w stosunkowo niedługim czasie możnaby zaradzić. Materyału bowiem odpowiedniego mamy dużo, należałoby go tylko pokierować i zużyć należycie.

To wszystko — to muzyka przyszłości. Zdajemy sobie z tego zupełnie jasno sprawę. Lecz sądzimy, że taki powinien być cel, do którego nam dążyć należy. Niezależnie od tego winniśmy już dziś popierać zawsze i wszędzie handel i przemysł rodzimy, bo mały handel i przemysł, tworzą podstawę i zawiązek wielkiego i bez porównania więcej ludzi żywią niż ostatni.

Do napisania tych kilku luźnych uwag skłoniła nas myśl, że nie dość jest rzucać hasła, należy mieć po temu środki i sposoby, aby je módz urzeczywistnić. W przełomowej chwili, w jakiej się znajdujemy, winniśmy sobie uprzytomnić nasze niedomagania i



Ze Salonu Sztuki.

W ubiegłą niedzielę odbyło się otwarcie nowej wystawy obrazów w naszym Salonie Sztuki.

Oprócz kilku wybornych portretów Krzesza i „Chrystusa wśród tłumu“, pędzla tego mistrza, i niektórych płócien Wywiórskiego, znanych nam z przeszłej wystawy ,pojawił się wielki poczt obrazów nowych, w części nieznanych jeszcze u nas artystów.

Takim nowicyuszem, nie w sztuce, lecz na naszej wystawie, jest sympatyczny malarz górnośląski Jan Krzyża, który przeszło 40 prac swych nadesłał. Niepodobna tu szczegółowo rozpisywać się o każdym z obrazów. Prowadziłoby to za daleko. Z wielkiem uznaniem podnieść należy studya kredkowe młodego artysty, odznaczające się przepysznym rysunkiem. Z olejnych tak rozmiarami jak rozmachem i techniką uderza barwny obraz, przedstawiający „Kazanie kalwaryjskie na Górze Św. Anny“ na G. Śląsku, w którym co prawda bardzo wybitnie uwydatniają się wpływy Mehoffera.

Ośmnaście obrazów przesłała wystawie panna Dora Mukałowska, zaszczytnie znana artystka także w Poznaniu z lat dawniejszych. Ponieważ będziemy mieli sposobność w przyszłym numerze więcej szczegółowo rozwieść się o twórczości tej artystki, zadawalniamy się na dziś tylko krótką tą wzmianką.

Kilka portretów wystawił p. Kazimierz Szmyt. Artysta ten pracuje bardzo pilnie nad rozwojem swego talentu, czego dowodem wystawione prace. Znać w nich znaczny postęp i pogłębienie. W rysunku wszystko to rzeczy dobre, malowane śmiało. W portretach pp. Kościelskiego i Biedermanna może podobieństwo nieco szwankuje, jako dzieła malarskie, zasługują jednak na uznanie.

Oryginalne i z talentem malowane są małe obrazki p. Maryana Paffkiego. W innym rodzaju są studya Jana Klempińskiego, więcej w nich harmonii, spokoju. Prześliczne są rzeczy p. Emilii Liszkowskiej, szczególnie pejzaże oddychają kojącym spokojem i ciszą. Wcale piękne pejzaże wystawił p. Józef Graczyński, bardzo pracowity i sumienny malarz, artystyczny

starać się je usunąć. Mamy też nadzieję, że krzewienie hasła swój do swego i po za granicami naszego zaboru, przyczyni się w pewnym stopniu do lepszego zrozumienia tej prawdy, że społeczeństwo, które tylko w jednym kierunku materyalnie się rozwija, nie może sprostać społeczeństwom, pracującym na wszystkich polach życia, że wszelka jednostronność jest szkodliwa.

Dla tego, sądzimy, nie należy wypierania towarów niemieckich nazywać bojkotem i nadawać tej akcyi jakiegoś charakteru zemsty, czy kary, lecz traktować sprawę czysto rzeczowo ze stanowiska naszego najżywotniejszego interesu ekonomicznego, który równocześnie jest dla nas ważnym interesem narodowym.

Nie w tryumfie leży piękność żywota, ale w pracy i trudzie, — nie w powodzeniu zasługa człowieka, lecz w poświęceniu.

Stanisław Koźmian.



Tydzień polityczny.

W Galicyi wre walka przedwyborcza na dobre. Jak wiadomo dotychczas konserwatyści mieli większość w sejmie i byli zwalczani energicznie nie tylko przez demokratów rozmaitego odcienia, ale także przez ludowców pozostających pod kierownictwem p. Stapińskiego. Obecnie po zwycięstwach narodowych demokratów przy wyborach do parlamentu, zabiera się galicyjska narodowo-demokracya także do zdobycia sejmu. Przestraszyli się tego chłopi. Widzą oni, że w narodowej demokracyi przewodzą głównie mieszczanie, a więc urzędnicy i żydzi. Posądzają więc narodową demokracyę o chęci forytowania miast na niekorzyść wsi. To starczyło, aby wszystkie żywioły rolnicze usposobić jak najgorzej dla narodowych demokratów i przysposobić wzajemne zbliżenie. Stało się coś, czego nikt by nie był przypuszczał. Otóż pan Stapiński, zacięty wróg szlachty i panów, zaczyna tłumaczyć swoim zwolennikom, że większa przepaść dzieli chłopa od mieszczanina, urzędnika i żyda, niż od szlachcica, z którym jednak dużo ma interesów wspólnych, jako rolnik i wyciąga rękę do zgody z panami, a ci, którzy swego czasu także ostro występowali przeciw robocie Stapińskiego, tę rękę przyjmują. Jedna i druga strona pracuje nad tem, aby usunąć dawne waśnie i wzmocnić podstawy wzajemnego porozumienia. W ten sposób najprawdopodobniej nowy sejm znów będzie posiadał większość agrarną, co zresztą też najzupełniej odpowiada rolniczemu charakterowi kraju. Nie potrzeba dodawać, że Stapiński nie oddaje się konserwatystom na łaskę i niełaskę, lecz będzie się starał wytargować ważne ustępstwa na korzyść chłopa. Ten alians chłopsko-szlachecki może być bardzo korzystny dla istotnych interesów kraju.

W Królestwie Polskiem, gdzie gazety ostro występują za bojkotem towarów niemieckich, uwydatnia się nacisk ze strony jenerała gubernatora Skallona przeciwko tej agitacyi. Jen. Skallon bowiem spowodował, że komitet cenzury wysłał do redakcyi poszczególnych pism ostrzeżenie, w którem powiedziano, że dzienniki narażą się na wielkie kary, jeżeli zbyt silnie będą popierały bojkot, albowiem rząd musiałby w takiej akcyi upatrywać szkodliwe niepokojenie stosunków międzynarodowych. Jak wiadomo jest jen. Skallon Niemcem, ożenionym z Niemką.

W Niemczech do poprzednich sensacyi dochodzi dalsza. Jest nią sprawa słynnego flottenferajnu, którego wybitni członkowie z jen. Keimem na czele zbyt gorliwie zajmowali się akcyą wyborczą z okazyi zeszłorocznych wyborów do parlamentu. Agitacya flottenfereinowych jenerałów i innych dostojników bardzo mile była swego czasu widziana w pałacu kanclerskim, albowiem bezwzględnie skierowana była przeciw centrowcom, o utrącenie których chodziło. Jednakże wzbudziła wielkie rozgoryczenie u katolickiej ludności, szczególniej w Bawaryi. Już donosiliśmy, że ks. Ruprecht bawarski złożył protektorat, za co mu jen. Keim pokwitował lekceważącem odezwaniem się. Spory zaostrzały się, były przedmiotem obrad i interwencyi najdostojniejszych w Niemczech osób, ostatecznie miały być rozpatrzone i rozstrzygnięte na zebraniu flotowców w Kaseli. Wynik tego zebrania był tego rodzaju, że należy mniemać, że nie tylko flotenferajn straci dawny wpływ i urok, ale nadto, że nastąpi większe jeszcze rozgoryczenie pomiędzy północą a południem

---

rozwój którego mamy sposobność śledzić od lat kilku. Pan Graczyński rozpoczął swą karyerę od bardzo jaskrawych widoków wiosennych, które, lubo podobały się publiczności, to jednak nie wiele miały z prawdziwą sztuką stycznego. Później pozostawał pod wpływem Wywiórskiego, nie przyswoiwszy sobie jednak jego przepysznej techniki, obecnie zaczyna odnajdować własne drogi. Technika jego, sposób patrzenia na przedmioty i oddawania ich, znacznie się uszlachetniła.

Nie możemy też zakończyć niniejszego sprawozdania, nie wspomniawszy prześlicznych „Stilleben“ panny Emilii Arendt, oraz nader pęknego i cudownie wykończonego, żeby się tak wyrazić przesłodkiego portretu p. Maryi Wicherkiewiczowej, pędzla Caesara Philippa.

Ponieważ wystawa nasza obfituje w portrety, nie od rzeczy będzie powiedzieć na ten temat słów kilka.

Portret według nas przenigdy nie powinien być fotografią kolorową lub plakatem artystycznym. Nie największą jego zaletą podobieństwo powierzchowne. Nie idzie zatem, żeby miał nie być podobnym. Od portretu żądamy, aby był wierny. Aby nie oddawał tylko linii i płaszczyzn twarzy, lecz uwydatniał duszę i to nie tylko duszę portretowanego, lecz i duszę artysty. Zatem wyobrażamy sobie powstanie portretu w taki sposób, że, twarz ludzka, nim ustali się w liniach i barwach na płótnie, nasamprzód powinna wyryć się w duszy artysty, powinna załamać się tam wyraźnie i głęboko, to znaczy powinna stać się poniekąd stanem duszy artysty, czemś, jakoby marzeniem. W świetle tego mistycznego blasku dopiero nabiera przedmiot każdy, a więc i twarz ludzka wartości dla wielkiej sztuki i tem światłem przepojona winna się pojawić przed oczyma widza na płótnie. Portret naszem zdaniem, nie powinien być zwierciadlanem odbiciem rzeczywistości, lecz artystyczną projekcyą marzenia artysty. Tutaj tylko uczynimy jedno zastrzeżenie. Wizye te muszą być takie, jakim ulegają ludzie normalni. Wtedy dopiero przemówią do duszy widza. Takie zaś, jakim ulegają osobniki, zamknięte w Rybniku lub Dziekance, a modne w nowoczesnej sztuce, nie mogą liczyć na współczucie szerszej publiczności.

R.



Niemiec, pomiędzy katolicką a protestancką częścią ludności, pomiędzy prostymi zwolennikami (większej floty, uważającymi jej pomnożenie za konieczne, celem zabezpieczenia Niemiec przed najazdem obcym, a fanatycznymi entuzyastami, marzącymi o światowem imperyum niemieckiem, mogącem być tylko wzniesionem na gruzach Anglii po krwawej wojnie.

Faktycznie wynik bitwy kaselskiej przedstawia się tak, że prezydyum flotenferajnu ustąpiło, przyozdobione votum zaufania większości i nie pozbawione możności nowego wyboru, Bawarczycy zaś — po tem pozornem, lecz zupełnie niezadawalającem zwycięstwie, oburzeni i rozgoryczeni opuścili salę obrad. Wiele pism jest zdania, że Bawarczycy zupełnie odłączą się od flotenferajnu, co nie jest wcale wykluczone.

W sprawie wywłaszczenia stwierdza „Köln. V. Ztg.", że Polacy zdobyli sobie współczucie całego ucywilizowanego świata. Sympatya ogólna narodów jest dla nas obecnie tak wielka, jak nią nie była nigdy póki Polacy Polakami. O projekcie wywłaszczenia w całym świecie słyszeć można tylko jeden głos potępienia. Głosy te są tak ostre, że ich żadną miarą powtarzać nie można. „Köln. V. Ztg." jest zdania, że hakatyzm obecnie stanął na wyżynie swej potęgi i prawdopodobnie się przesili. Jest wyrównująca sprawiedliwość Boża i historya uczy, że ostatecznie każda krzywda pociąga za sobą karę, albowiem Boże młyny powoli mielą, ale pewno. Takie jest i nasze zdanie.

W Rosyi znów teroryzm podnosi głowę, jak o tem świadczą gazety, notujące coraz nowe wypadki morderstw i gwałtów. W Petersburgu z tego powodu przedłużono stan ochrony wzmocnionej aż do połowy lipca, w kilku okręgach zamieszkałych przez Kozaków dońskich aż do listopada trwać będzie wzmocniona ochrona.

Car wydał rozporządzenie, dotyczące spraw wojskowych i to, 1) mają być w wojsku rosyjskiem przywrócone dawne strojne mundury, w których się kochał Aleksander II., a syn jego, Aleksander III., znany z oszczędności, je zniósł; 2) oficerowie niższej rangi mają otrzymać lepsze wynagrodzenie. Przez naprawę umundurowania chce rząd rosyjski wzbudzić w żołnierzu więcej miłości do wojskowości, a przez polepszenie pensyi oficerskich zamierza zapobiedz agitacyi przeciwpaństwowej w kołach oficerskich. Oficerowie bowiem rosyjscy, to częstokroć ludzie biedni i niewykształceni, zatem łatwo się stają łupem agitacyi. Prasa rosyjska wcale nie zbudowana jest tym ukazem, ponieważ widzi jasno, że zupełnie innych trzebaby się chwycić środków, aby uzdrowić armię, a mianowicie wypędzić z niej ciemnego ducha biurokratycznego i do karyery oficerskiej przypuszczać tylko światłych i przyzwoitych młodych ludzi, którzyby nie okradali skarbu i żołnierzy, w czem im tak świetnym przykładem przyświecają niektórzy najwyżsi dostojnicy wojskowi, jak to uwydatnił proces portarturski.

Bije fala o skałę, lecz skały nie wzrusza;
W przeciwnościach szlachetna hartuje się dusza.
Ks. Biskup St. Krasiński.



Z estrady koncertowej.

W poniedziałek odbył się na wielkiej sali Lamberta koncert młodocianego skrzypka *Zdzisława Jahnkego* z współudziałem zaszczytnie znanego w świecie muzycznym pianisty pana *Mieczysława Eichstaedta* z Berlina.

Obaj koncertanci są dziećmi prastarego grodu Przemysława i dobrze znani naszej publiczności koncertowej. Zaraz na wstępie zaznaczyć należy z przyjemnością, że publiczność nasza zadała kłam staremu przysłowiu, opiewającemu, że nic nie znaczy prorok w swej ojczyźnie, gdyż z zapałem witała obu artystów i darzyła ich wyborne produkcye rzęsistemi oklaskami.

Młodociany skrzypek Zdzisław Jahnke rzeczywiście należy do rzędu „cudownych dzieci". Program składał się z nader trudnych technicznie rzeczy. Taki np. koncert Spohra lub polonez Vieuxtempsa należą do repertuaru pierwszorzędnych skrzypków. Popisuje się niemi Kubelik, Pecznikow, Hubermann i inni koryfeusze smyczkowi, a publiczność wstrzymuje oddech z podziwu, słysząc te nieskończone pasaże, pojedyńcze i dubeltowe trele, świetne staccata, flażeolety, tercye, seksty, oktawy i inne łamańce, płynące z zdumiewającą łatwością i melodyjnością z pod smyczka artysty. Te same rzeczy grał Zdzisław Jahnke, chłopiec dwunasto- czy trzynastoletni, na małych skrzypcach, drobnemi rękami dziecka i grał je tak, że, gdy skończył, sala zatrzęsła się od oklasków. Nie kładziemy tu tyle wagi na technikę. Biegłość jest czemś, co w pocie czoła w wysokim stopniu nabyć można. Lubo jest ona niezbędnym rekwizytem dla artysty i wirtuoza, to jednak, lubo stanowi wirtuoza, nie stanowi jeszcze artysty. Co nas zniewoliło dla młodego Zzisława Jahnkiego, to sposób, w jaki oddaje grane przez siebie rzeczy. Oczywiście trudno od dziecka, które dopiero rozpoczyna prawdziwy rozwój artystyczny, wymagać tej głębokości i szlachetności uczucia, jaką tylko rozwój fizyczny i umysłowy, a więc wiek i doświadczenie dać może; ale to, co grał, było przepojone takim czarem, takim blaskiem talentu, że, jeżeli młody artysta w tym kierunku dalej rozwijać się będzie, prorokować mu należy prawdziwie wielką przyszłość. Nadzieje te są



Listy od przyjaciół.

Niemcy o wywłaszczeniu.

Z miasta, 22 stycznia 1908.

Pisze nam p. dr. Tadeusz Jaworski:

Od nieznanego mi zupełnie p. *Emila Witte* z Römlinghofen pod Bonoinią w prow. nadreńskiej otrzymuję następujący list, który brzmi w tłomaczeniu:

WPan dr. Jaworski w *Poznaniu*.

Oburzony postępowaniem sejmu pruskiego, urągającem *wszelkim* prawom, przesyłam WPanu jako dowód *sympatyi* mojej dla szlachetnego, *ciężko doświadczonego* narodu polskiego, z którym mię święte więzły wyznania łączą, w przypisku wiersz. Jeżeli uważa go WPan jako odpowiedni dla Waszej „Pracy," to nie mam nic przeciw jego umieszczeniu. Do „Germanii" w Berlinie wysłałem taki sam wierszyk, który oby obudził *powszechne* zajęcie się sprawą. Z katolickiem pozdrowieniem i szacunkiem

Emil Witte.

Treść wiersza jest następująca:

Dotyczy wywłaszczenia Polaków. Podług wiersza: „Niedźwiedź i pszczoły" dla wszystkich przyjaciół pruskiej dewizy: „Suum cuique" (każdemu, co mu się należy!)

W Polsce mruczy dziki myś:
„Dajcie ziemię, chcę ją zgryźć!
Jam zbyt duży, wyście mali,
Byście mi zawadą stali!

„Dajcie ziemię, dajcie las!“
„Darmoś do nas, mysiu, wlazł!“
Myś nie pyta i nos kładzie:
„Precz tu z wami, jam pan w sadzie!“

Polskich pszczół go obsiadł rój:
„Myśmy mali, a tyś zbój —
Lecz twój nos od żądeł spuchnie,
Gdy Ci nasza ziemia cuchnie!“

Myś się wścieka, skoczył w bok,
Mruczy: za nim pszczoły w skok;
Ozór, nos i uszy swędzą —
Już go pszczoły w błota pędzą!

W ulu radość — przepadł myś
Głos go goni: „Kysz a kyś!
Nie chcesz, by ci gryzły skórę,
Pszczołom nie kładź nosa w dziurę!“

Nas niech uczy jego los
I przykazań święty głos:
Siła nie przemoże prawa,
Brać*) zabrania nam ustawa.

Niemiec prawy się nie boi
I za prawdę zawsze stoi,
Wam choć przemoc wszystko wzięła:
Jeszcze Polska nie zginęła!

Tłomaczył *Acer.*

* * *

Wielki Bysław, (Prusy Zachodnie) d. 19. 1. 1907

W dniu dzisiejszym odbył się tutaj wiec zapowiedziany na sali następcy p. Gierszewskiego. Wiec zagail budowniczy p. Fr. Piotrowski z Bysławia.

Na przewodniczącego wybrano p. Antoniego Borzyszkowskiego z Gostoczyna, który przyjąwszy przewodnictwo, ukonstytuował biuro wiecowe przez mianowanie na ławników pp. Fr. Piotrowskiego i St. Powoczińskiego. Urząd sekretarza wiecu pełnił rodak nasz, kupiec p. Wojciech Prill.

Jako pierwszy mówca zabrał głos Szanowny p. poseł Kulerski i w obszernem przemówieniu zdał sprawę z czynności Koła polskiego w Berlinie, omawiając szczegółowo sprawy parlamentu i sejmu, a mianowicie mówił o przyszłem krzywdzącem i o pomstę do nieba wołającem antypolskiem prawie wywłaszczenia. Mówca przedstawił zebranym nową ustawę w prawdziwem świetle i w wymownych i wzruszających słowach dał wyraz oburzeniu, jakie ustawa ta nietylko u nas wzbudza, ale nawet w całym cywilizowanym świecie. Zebrani z zapałem wysłuchali mowy i gromkiemi oklaskami dali także wyraz, że nigdy niewyrzekną się swych praw świętych i na zawsze pozostaną Polakami. Drugą część wiecu wypełniła sprawa „Straży.“ Jako pierwszy mówca wystąpił delegat Zarządu „Straży“ i starosta na powiat gdański, szanowny p. Czyżewski z Gdańska, który chyba każdemu jest znany jako dzielny szermierz idei naszej narodowej w Prusach Zachodnich. Mówca w wymownych i ciepłych słowach objaśnił cele „Straży“ i dawał wskazówki jak postępować trzeba w obecnych czasach, mianowicie kładł nacisk na to, by przedewszystkiem popierać handel i rzemiosło polskie. Wywody szanownego mówcy wywarły głębokie wrażenie na słuchaczach, którzy mu gromkiemi oklaskami podziękowali i wyrazili zgodność z jego zapatrywaniami. Następnie zabierali głos jeszcze pp. Paweł Günter z Klonowa i St. Muszyński z Tucholi, popierając wywody szanownego mówcy. W końcu przemówił jeszcze krótko szanowny p. poseł Kulerski i poparł także gorąco sprawę „Straży.“

Przebieg wiecu był wspaniały i interesujący, tym więcej, że zgromadziły się liczne zastępy wiecowników z najdalszych stron. Sala i przyległe pokoje były szczelnie zapełnione słuchaczami. Wiec dozorował komisarz Weigt z Torunia i miejscowy żandarm.

Na członków „Straży“ zapisała się spora liczba wiecowników.

Gorliwy czytelnik „Pracy.“

* * *

Piękne przykłady z niedalekiej przeszłości.

Sopoty, (Pr. Zach.) dnia 22. 1. 1908

Czcigodnej Redakcyi „Pracy“ w Poznaniu pozwalam sobie niniejszem przesłać niektóre wyjątki z teki wspomnień *matki mojej ś. p. Anny Taczaczowskiej* — urodzonej na Żmudzi z ojca Ezechiela Staniewicza i matki Kunegundy Billewiczówney — a *zmarłej i pochowanej w podziemiach kościoła parafialnego w Grodzisku pow. Pleszewski nad granicą Królestwa Polskiego.*

„S. p. Ezechiel Staniewicz, przed rokiem 1830 marszałek szlachty i pan obszernej fortuny na Żmudzi, złożył wszystko na Ołtarz Ojczyzny i jako tułacz, ogołocony z mienia, zamieszkał we Francyi, następnie w Belgii z żoną, typem Polki, której dobroć i spokój miały w sobie coś z wyrazu katakumbowych męczennic. O! bo wierzyła i kochała ta Polka, stojąc silnie obok spiżowej postaci swego męża. — Pewnego zimowego wieczora zasiedli w pokoju przy ulicy de Berlin nr. 5 w Brukseli, Ezechiel Staniewicz, Józef

*) Autor ostrzejszego użył wyrażenia. Red

---

zupełnie uzasadnione, gdyż Zdzisław Jahnke pod względem zdrowia wcale nie idzie — dziękować Bogu — w ślady tylu innych cudownych dzieci, które przedwczesną ciężką pracą stargały nerwy i zmarnowały świetny talent.

Jeżeli Zdzisław Jahnke stoi jakoby na wschodzie swej artystycznej karyery, to p. Mieczysław Eichstaedt już dobiegł, a przynajmniej dobiega jej południa. Jestto artysta bardzo interesujący, którego trzeba dużo i często słyszeć, mamy nawet wrażenie, że trzeba go w małem kółku dobranych osób i w odpowiedniej chwili słyszeć, aby urobić sobie o jego sztuce sąd należyty. Przed kilku laty słyszeliśmy go po raz pierwszy, później jeszcze kilka razy, a za każdym razem korygowaliśmy nasze zdanie, za każdym razem więcej nas jego sposób pojmowania i oddawania rzeczy przekonywał i zniewalał.

W poniedziałek grał p. Eichstaedt słynną i wspaniałą fantazyę op. 77 Betowena, przecudne Adagio h-moll Mozarta i impromptu op. 66 Szopena, delikatną koronkową robotę artystyczną, pełną łez i westchnień. Pan Eichstaedt, jak o tem świadczy program, starał się dać publiczności wielką muzykę, nie zaś jej surogat popularny, uwydatniający się w twórczości drugorzędnych mistrzów, obliczony na efekt i porwanie słuchacza. Przez takie zestawienie programu już z góry pozbawia się artysta dużo szans u tych słuchaczów, dla których rzeczy Betowena i Mozarta są księgą na siedem pieczęci zamkniętą. Zasługuje jednakże na wdzięczność prawdziwych miłośników i znawców muzyki. Wielka szkoda, że ostatni wszędzie bywają w mniejszości. To zamiłowanie do starych mistrzów wykazuje, że pan Eichstaedt jest artystą poważnym, który swoją sztukę traktuje seryo. Postępy, jakie poczynił w ostatnich latach tak w technice, która nabrała większej jeszcze świetności, jak pod względem uczuciowego i ideowego pogłębienia tematów, dowodzą, że lata spędzone na wtajemniczaniu drugich w arkana sztuki muzycznej, nie są dla artysty stracone.

Krótkie to sprawozdanie nie byłoby zupełnem, gdybyśmy nie podnieśli dyskretnego i subtelnego akompaniamentu p. Eichstaedta.

Publiczność zebrała się bardzo licznie i z zadowoleniem opuszczała salę.

R.

Zaliwski, były więzień z Kufsteinu, przybyły świeżo z Paryża Joachim Lelewel, Lucyan Siemieński, Winc. Tyszkiewicz, Roman Zmorski, a choć goszczący różnili się w zapatrywaniach, jak zwykle w emigracyi, rozmowa ogrzana jednością uczucia i jednością dążeń, toczyła się swobodnie na tle wspomnień ojczystych przeszłości i przyszłości Polski. Każdy rozwijał zdania i poglądy, opowiadał wypadki, o jakich słyszał, lub w których sam współdziałał.

Nareszcie Ezechiel Staniewicz w te odezwał się słowa:

Nikt z was panowie moi nie miał sposobu poznania ludu z tej strony co ja — nikt jak ja nie miał szczęścia uczestniczyć w jego duchowych godach — przed nikim on, skryty zawsze i nieufny, nie otworzył jak przedemną tajników swego serca. Słowa moje poprę Wam przykładem. — Po upadku narodowego ruchu, którego w stronach moich byłem naczelnikiem, Moskale opanowali całe dobra moje, tropiąc jak psy gończe nawet w krzakach i dolach za mną, i męcząc indagacyami lud, którego opieką i łaską przez 18 tygodni z żoną i dziećmi w lasach się ukrywając, karmiony i ogrzewany byłem.

Pewnego dnia do kryjówki naszej w miejsce syna, który nam głównie żywności dostarczał, przyszedł ojciec, stary kmieć i znany we wsi gospodarz. Zapytany o syna i o powód zmiany, odpowiedział:

Już on tu do was nie przyjdzie panoczku. Dlaczego? spytałem z przejęciem, odgadując coś w tem smutnego. Nie żyje, spokojnie i wolnym głosem odpowiedział. Jak to nieżyje? Za wiarę, panoczku, jak zginąć powinien syn mój i Zmujdzin! Wyraz pięknej twarzy starca stopniowo z spokoju przechodził, jakby w zachwyt szczęścia...... Zjechała komisya wojskowa — zwołała gminę, bicie się zaczęło, a że na syna mego denuncyacya być musiała, że się z Wami, panoczku, znosi — po raz piąty wzięto go pod pałki! Obnażony, blady z siniałemi ustami, szedł mój baranek na śmierć, modląc się głośno. Widziałem, że prosi Boga o wytrwanie i jęknąłem ku niemu głosem rozpaczy: Synku pij żółć na wzór Jezusa... i jak On bądź cierpliwy — jedno słowo zdrady, a ręka Ojca dobije Cię! Milczący upadł mój męczennik na twarz i krew się polała. Bóg wziął duszę czystą, a dla mnie martwe zostały zwłoki i tryumf ojca, że poniósł śmierć za wielu i za kraj!“ Tu stary Staniewicz zapłakał cichem męskiem rozrzewnieniem, poczem umilkł i już na cały wieczór był jakby zamknięty w sobie. — Drugą chwilą nie mniej wymowną w kolejach tułaczych jego była wiadomość o śmierci syna Floryana, który w roku 1848 poległ śmiercią walecznych pod Miłosławiem. Powiadomiony strasznie jęknął, ani jedną łzą nie zrosił oka, tylko bronzowa cera twarzy pociemniała bardziej. Opadł na krzesło stojące przy drzwiach, któremi wszedł, opuścił głowę na ręku i podobien do posągu, przmawiającego siłą plastyki, przesiedział tak kilka godzin. Przytomni w niemem skupieniu otoczyli go, bojąc się nadmiaru zamkniętej w sobie boleści. Ale nad wszystko silniejszy był hart duszy Polaka! Wstał z miejsca, powiódł okiem po przytomnych i w te odezwał się słowa: „Chłop Zmujdzki nauczył mnie jak kochać i wychowywać syny — chrzest ofiary odebrałem leżąc u nóg Jego... i wyschły łzy moje w upale tej wiary... ale zapłaczę bracia, zapłaczę radością zmartwychwstającej Polski.

Inaczej się stało — sędziwy weteraz umarł wkrótce!

Floryan Taczanowski.

* * *

Recklinghausen-Süd, 20. 1. 1908

Szanowna Redakcyo!

Wyczytałem w jednym numerze „Pracy“ korespondencyą młodzieńca, nawołującego do oświaty. I ja przyłączam się do jego głosu i wołam: oświata ludu — dokona cudu.

Smutno jest z nami. Ale często z własnej naszej winy. Za mało jeszcze u nas godności narodowej, za wielu jeszcze takich, którzy wstydzą się swej polskości, lub się z nią kryją. Stąd to pochodzi, że „Anceigery“ kładą na stole, na widok, a gazety polskie, albo ich nie trzymają, albo też chowają po kątach, aby Niemców w oczy nie żgały.

Tak jednak nie powinno być. „Anceigery“ nie powinny się znajdować w domach polskich i nie dobrze jest, jeżeli się Polacy zbytnio z Niemcami bratają, bo przez to nauczą się coraz więcej kaleczyć naszą piękną mowę ojczystą, której przecież bronić mamy przed zepsuciem, a nie sami się do jej zepsucia przyczynić. Gazety i pisma polskie to nasza broń. Od nich się uczymy jak walczyć o swe słuszne prawa, one nam wskazują, jaką drogą postępować mamy, abyśmy nie pobłądzili, one nam też powiadają, co znów złego hakatyści na nas wymyślili. Dlatego powinniśmy je mieć w wielkiem poszanowaniu. Ja sam tylko na gazecie polskiej nauczyłem się czytać i pisać, w czem mi rodzice dopomagali. Zawsze też zachowam wdzięczność dla naszych gazet i starać się będę o ich rozpowszechnianie. Nowy rok ciężkie nam przynosi czasy, ale przy pomocy Bożej i w najcięższych można żyć. Często też z wielkiej chmury tylko mały spadnie deszcz. Gdzie Opatrzność Boża jest, tam wróg, choćby na głowie stanął i żelazne zawdział rękawice, nic nie wskóra. Żaden człowiek nie jest w stanie zniszczyć tego, co Bóg ustanowił i póki chłop polski pacierz mówi, póty polskość pozostanie i nie zginie. Jeszcze nie tak prędko zapomną chłopy polskie polskiego pacierza, boć każdy do Pana Boga tak mówi, jak go ojciec i matka nauczyli, byleby tylko nie zapomniał na obczyźnie języka ojczystego przez czytanie „Anceigerów“. Dla tego wołam: kochani Bracia, wyrzućcie „Anceigry“ z domów waszych, a otwórz-



Z teatru.

R. Charvey i P. Gevautt: „Panna Zosεta — moja żona,“ komedya w 4-ch aktach.

Sztuka, której tytuł podaliśmy powyżej, należy prawdopodobnie do najzabawniejszych rzeczy, jakie się kiedykolwiek pojawiły na deskach. Jestto farsa bez sensu, nie prawdopodobna, pełna komiki czysto sytuacyjnej i dość dyskretnej pikanteryi — ale ma jedną i to najważniejszą zaletę farsy, że widz, chcąc nie chcąc ulega błażeństwom, dziejącym się na scenie, i śmieje się, jak gdyby go kto osobno za to płacił.

To też publiczność nasza przepełniła teatr po brzegi i wybuchami śmiechu towarzyszyła ciekawej, ożywionej i pełnej niespodzianek akcyi.

Sztuka była wystawiona bardzo starannie. Artyści bez wyjątku grali znakomicie. Na osobną wzmiankę zasługują pani Kozłowska, która objęła główną rolę i wywiązała się z zadania z właściwą sobie finezyą, oraz pan Junosza, któryby w tej roli mógł występować na pierwszorzędnych scenach. Niepodobna tu odpisywać programu i rozwodzić się nad grą każdego artysty z osobna. Dość powiedzieć, że wszyscy zrobili, co do nich należało.

Sztuka ma powodzenie u nas zapewnione tak dalece, że nie potrzeba go jej życzyć osobno.

PSALM 93.

1. Panie, Tyś ostatecznie sędzią wszelkiej niesprawiedliwości,
Boże, okaż się Ty najwyższym sędzią.
2. Wystąp jako sędzia nad całym światem
I ukarz za ich sprawy, którzy gwałt wykonali.
3. Dopótyż mają ci bezbożnicy, Panie
Dopótyż ma być im wolno zuchwale się zachowywać.
4. Śmiałymi słowy wynoszą głowy,
Bezbożni, dumni na swoje czyny.
5. Naród Twój wybrany chcą zgładzić
I starają się zniszczyć, Panie, dziedzictwo Twoje.
6. Wdowy mordują i opuszczonym
Sierotom nie przepuszczają.
7. „Bóg nie widzi tego“, mówią szyderczo,
„Na takie rzeczy nie zważa Pan dzieci Jakóbowych“.
8. Lecz zważcie, wy z ludzi najgorsi,
Nierozumni wy, i pozwólcie się pouczyć.
9. Ten, który uformował ucho, nie miałby słyszeć,
Nie miałby widzieć, który oko zrobił?
10 Ten, który upomina wybrany Swój naród, nie miałby móc karać?
Ten, który ludzkość uczy, nie miałby tego złego widzieć?
11. Zna Bóg myśli najskrytsze,
I widzi, jak są marne.
12. Chwały godny mąż, którego, Panie, oświecisz,
Któremu dałeś prawo.
13. Znajdzie spokój w sumieniu w czasie nieszczęścia,
Aż się grób nie otworzy wrogom jego.
14. Bo nigdy nie opuści Pan ludu swego,
Nigdy własności Swej się nie zrzecze.
15. Co dobre wreszcie sprawiedliwość znajdzie,
Wszyscy, którzy niewinnie żyją, muszą nagrodę otrzymać
16. Kto mi pomoże wobec mych bezbożnych wrogów,
Któż mi teraz pomoże we walce z tymi niecnymi?
17. Gdyby się Pan nie był za mną ujął,
To życieby zagrożone było.
18. Lecz kiedy stopa ma zwichnąć się grozi,
To łaska Twoja mnie wesprze, o Panie!
19. Kiedy tysiąc trosk serce me obciąża,
Dusza ma w Tobie pociechę znajduje.
20. Czyż z Twoją wolą, Panie, przemoc na sądzie zasiędzie?
Czyż w imię prawa niesprawiedliwość mam cierpieć?
21. A jednak oni na dobrych padają,
I każą niewinnych wylewać krew.
22. Lecz mocną twierdzą jest nasz Pan
Bóg opoką na której stoję.
23. On ukróci wrogów zuchwałych
I każe im zginąć w nieprawościach ich.
Pan Bóg mój sam ich wyniszczy.

---

cie na oścież drzwi dla szczero polskich gazet naszych. Życzę też tak dobremu i szanownemu pismu jak „Praca“, aby się znalazło jak najwięcej ochotników, którzyby ją czytali. Takie dobre i katolickie pismo jak „Praca“ powinno się znajdować w każdym polskim domu tak w kraju, jak i na obczyźnie. Nawet tam, gdzie inną polską gazetę czytają „Praca“ się znajdować powinna, bo są w niej opisy i artykuły takie, jakich inne pisma nie mają. Pozdrawiam wszystkich rodaków w kraju i proszę, aby każdy, kto żyw trzymał polskie pisma i je też czytał.

Józef B...

Od Redakcyi: Dziękujemy Szan. Korespondentowi za pamięć i życzenia. Słuszność ma Korespondent, jeżeli twierdzi, że „Praca“ powinna być wszędzie czytana, nawet tam, gdzie gazety codzienne się abonuje. „Praca“ bowiem jest dopełnieniem gazet codziennych i przynosi wiele pożytecznych wiadomości z dziedziny czysto oświatowej, historycznej, kulturalnej i t. d., czego gazety codzienne, przeładowane z natury rzeczy polityką, podobnie obszernie dawać nie mogą. Naszych Czytelników także zachęcamy do abonowania gazet codziennych obok „Pracy“. Jeszcze nikt nie żałował grosza wydanego na czytanie. Nie ma też człowieka na świecie, któryby za wiele czytał. Przeciwnie się dzieje: ludzie o wiele za mało czytają. Dopiero, gdy u nas czytelnictwo się rozwinie prawdziwie, jak w Ameryce, Anglii, Czechach, dopiero lepsza dla nas zaświta przyszłość. Nie można dość często i dość gorąco zachęcać publiczność do czytania!

W odpowiedzi p. I. T. w Poznaniu. Nie możemy uznać, żeby „Postęp“ w artykule zatytułowanym „Przesada“ w czemkolwiek ubliżył redaktorom odpowiedzialnym lub darzył ich ironicznem politowaniem. Występował tylko przeciw wyzyskiwaniu cudzego nieszczęścia w celach reklamy, co jest rzeczą bezwzględnego potępienia godną.

Czy Szan. Pan także nie masz wrażenia, że się to czasem dzieje, i że to właśnie ubliża honorowi redaktorskiemu?

Wybaczy Szan. Pan więc, że Jego korespondencyi nie umieścimy.

* * *

W odpowiedzi gronu obywateli z Chełmna. Korespondencya Szan. Panów przyszła za późno, wskutek tego uwzględnioną być nie może. Wszystkie korespondencye powinny najpóźniej we wtorek być w naszych rękach.

Złote listki.

Półgłówki zwykle najwyżej głowy podnoszą.

Eliza Orzeszkowa.

* * *

Miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie.

Bolesław Prus.

* * *

Bóg jest wszechmiłością; kto więc kocha ludzi, ten kocha ***najwyższe Jego*** *przykazanie.*

Henryk Sienkiewicz.

* * *

Nie chelp się twoim rodem, jeśliś się wyrodził;
Popiołem jesteś z drzewa, skąd płomień wychodził.

Józef Szujski.

* * *

Rozdrób twój żywot — zleci ptasim lotem;
Skup go — a trudniej pcha się z czoła potem.

Lucyan Siemieński.

* * *

Dzieła szatana przeznaczone są na to, aby wydały przeciwne zamiarom jego owoce i zaginęły.

Leszek Borkowski.

Książę Waszawski.

W setną rocznicę.

Była w dziejach Polski krótka chwila, kiedy nam nie król panował — lecz książę.

A działo się to właśnie sto lat temu — i z tej to okazyi przypomnimy tu postać monarchy Księstwa Warszawskiego, tego — zdaniem poważnych historyków — najlepszego monarchy, jakiego nam dał dom saski, niestety zapóźno...

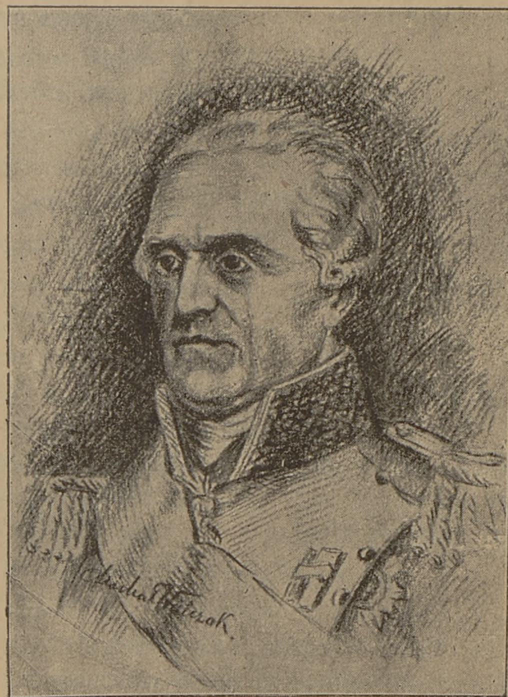
Fryderyk August III, jako elektor, a I, jako król saski i książę warszawski, był wnukiem króla Augusta III, a synem elektora saskiego Fryderyka Chrystyana, królewicza polskiego i spółzawodnika Stanisława Augusta do korony polskiej.

Przyszedł na świat w Dreźnie w grudniu r. 1750, jako jedno z licznych dzieci ambitnej Maryi Antonii, z domu księżniczki bawarskiej. Jeden z jego biografów tak określa postać Fryderyka Augusta:

„Człowiek niewysokiej miary umysłowej, małej przedsiębiorczości osobistej, niepokaźnej powłoki i form zewnętrznych, w poglądach, w sposobie życia, w manierach staroświecki, pedancki, zacofany, płaski, często śmieszny; a przecież prawdziwą świadomością swoich obowiązków monarszych, niewzruszoną prawością, czystością kryształową zupełnie wyjątkowy w tej dobie Napoleońskiej, w której żyć mu wypadało, która tylu wydała ludzi zdumiewających, tylu od niego nieskończenie wyższych talentem albo geniuszem, a gdzie jednakowoż on jeden przedstawia się w swojej ciasnej odrębności, jako najszanowniejsza, najpoważniejsza, bo bez żadnej zgoła moralnej skazy postać monarsza“.

Warto przypomnieć z naciskiem, że Fryderyk August saski władał polskim językiem, którego jak wiadomo, nie znali zgoła ani dziad jego August II, ani pradziad August III, obaj królowie polscy. A stało się to tym sposobem, iż od dzieciństwa w polszczyźnie ćwiczyć go kazał starannie jego ojciec, który już wtedy zamyślał o dziedzicznej w Polsce koronie. Że jej nie dostał — wiadomo, ale faktem jest, że kiedy o nią pretendował, ogromna większość t. zw. republikańska w naszej Rzeczypospolitej była za nim.

Wystąpił Fryderyk Chrystyan ze swą kandydaturą do korony polskiej zupełnie jawnie zaraz nazajutrz po zgonie swego ojca króla Augusta III, w październiku 1763, (kiedy Fryderyk August, późniejszy książę warszawski, miał zaledwie lat trzynaście). Liczył na poparcie Francyi, Austryi i Prus oraz na Branickiego, Rzewuskiego i Radziwiłła, którzy „republikanom“ w Polsce przewodzili, a gdzie niechętną elektorowi była jedynie frakcya „familii“ — Czartoryscy, ze swymi krewniakami i adherentami.



Fryderyk August książę Warszawski.

Co wszakże najważniejsze, elektor saski miał, jako pretendent do tronu polskiego, przeciwko sobie Rosyę i to zadecydowało, że szanse jego okazały się mniejsze, niżli sam był przypuszczał. Zresztą w dwa miesiące później, a jeszcze przed sejmem konwokacyjnym, Fryderyk Chrystyan umarł nagle na ospę, ułatwiając w Polsce tryumf Poniatowskiego.

Tymczasem tytuł elektora przeszedł na syna niedoszłego króla Polski, na 13-letniego Fryderyka Augusta. Nad młodzieniaszkiem jednakże objęła zaraz kuratelę matka. Ale plany ambitnej Maryi Antonii sparaliżował rychło jej szwagier, książę Ksawery, wydarłszy wdowie regencyę w Saksonii.

Niebawem i jego usunęła opozycya stanów saskich i rządy wziął w swe własne ręce młody Fryderyk August przed dojściem do pełnoletności (liczył wówczas lat 18), z trudnego zadania dobrze się wywiązał, powoławszy na wstępie na ministra, dawnego nauczyciela swego, Gutschmidta.

Panowaniem w Saksonii króla Fryderyka Augusta nie będziemy tu zajmowali się bliżej, powiemy jeno, że w ciągu swych rządów doprowadził on do stanu kwitnącego kraj, zrujnowany przez rządy dwóch Augustów i zniszczony przez wojnę siedmioletnią.

Bardziej nas obchodzą jego późniejsze stosunki z Polską.

Sejm czteroletni w Warszawie podniósłszy zasadę dziedziczności tronu w ustawie 3-go maja r. 1791, ogłosił Fryderyka Augusta saskiego po śmierci Stanisława Augusta Poniatowskiego następcą tronu, w Polsce sukcesyjnego, porządkiem pierworodztwa w linii męskiej, a gdyby synów nie miał, porządkiem pierworodztwa po najstarszej córce, ogłoszonej infantką polską, której stany Rzeczypospolitej męża obiorą. Tą córką, a jedynem dzieckiem, jakie miał Fryderyk August, była elektorówna Marya Augusta Nepomucena, urodzona w czerwcu 1782 z księżniczki palatyńskiej Amalii, poślubionej elektorowi saskiemu w roku 1769.

Skomplikowana i niepraktyczna uchwała sukcesyjna sejmu warszawskiego powstała dla uniknięcia sukcesyi pruskiej.

Elektor Fryderyk August przyjął notyfikowaną sobie przez posła Małachowskiego uchwałę sejmową, ale akceptacyę ostateczną niebezpiecznego daru uczynił zależną od zgody trzech mocarstw ościennych, a zarazem postawił jeszcze szereg poważnych warunków, wprawdzie uciążliwych, lecz zmierzających jedynie ku dobru kraju.

Wszystko jednak chybiło skutkiem odstępstwa Prus, kampanii 1792 r. oraz drugiego podziału Polski.

Aliści po latach szesnastu wcieliła się przecież dawna uchwała sejmu warszawskiego w rzeczywistość. Mianowicie w roku 1807 pakty tylżyckie, bez żadnych starań nawet z jego strony, właśnie elektorowi Fryderykowi Augustowi, (noszącemu już od roku tytuł króla saskiego, odkąd wstąpił do utworzonego przez Napoleona związku Reńskiego) oddały na własność dziedziczną koronę nowopowstałego Księstwa Warszawskiego, warując mu zarazem wolną przez ziemie pruskie drogę wojskową z Saksonii do Polski.

Tegoż roku 22 lipca podyktował sam Napoleon w Dreźnie kartę konstytucyjną Księstwa Warszawskiego, którego był właściwym twórcą. Czyniła ona koronę Księstwa dziedziczną w domu królewskim saskim w porządku spadkobrania tego domu; oddawała księciu panującemu władzę wykonawczą oraz inicyatywę prawodawczą; oddawała mu zamek królewski i pałac saski, a wyznaczała dochodu, 7 milionów złotych polskich, w połowie z dóbr koronnych, w połowie ze skarbowej listy cywilnej. Jednocześnie

podpisany w Dreźnie traktat francusko-saski zobowiązywał księcia-króla do utrzymywania 30-tysięcznej armii w Księstwie Warszawskiem.

W swojej proklamacyi monarszej Fryderyk August, odzywając się do swego Księstwa Warszawskiego, powoływał się na odziedziczone po



Marcel Baciarelli.
Napoleon nadaje delegatom polskim konstytucyę Księstwa Warszawskiego.

przodkach związki z Polską, a przemawiał już nie do duchowieństwa i szlachty, lecz do „obywateli i mieszkańców“, wszystkim przypominając „równe prawa i obowiązki“.

Wkrótce i osobiście zawitał po raz pierwszy do Warszawy (20 lutego 1808 roku), gdzie ludność przyjęła go z zapałem, zalegając tłumnie drogę, którą jechał do zamku przez Aleje Ujazdowskie, Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście. Na powitanie, przy wręczaniu mu kluczów miasta, odpowiedział książe-król po polsku. Przez następne miesiące zajmował się sam jak najgorliwiej sprawami rządowemi, prezydując w radzie stanu; sam również otworzył czynności ukonstytuowanego senatu, którego przewodnictwo powierzył Małachowskiemu.

Do Drezna pojechał na krótko i już po kilku tygodniach powrócił do Warszawy dla otwarcia pierwszego Sejmu Księstwa.

Było to dnia 9-go marca 1809 r., kiedy Fryderyk August w katedrze św. Jana, w otoczeniu duchowieństwa i władz, siedząc na tronie, odebrał przysięgę od posłów; poczem nazajutrz polską mową tronową osobiście otworzył obrady sejmowe na zamku, w otworzonej pierwszy raz po 17 latach sali sejmowej.

W trudnem naówczas położeniu kraju książę-król łagodził niesnaski ciągle między rządem a sejmem. Bacząc na zły stan finansów Księstwa, ani grosza nie wziął przez cały czas swego panowania ze swej listy cywilnej, a często nawet w potrzebie z własnego skarbu saskiego zasilał skarb warszawski.

Kiedy udał się następnie znowu do swej stolicy saskiej, zaszły ważne wypadki polityczne — wojna francusko- austryacka i kampania galicyjska księcia Józefa Poniatowskiego. Wreszcie sam Fryderyk August zmuszony uchodzić z Drezna przed najazdem austryackim, śledził z daleka pochód wojsk swego Księstwa do Krakowa: poczem w maju 1810 r., po pokoju schoenbruńskim, ruszył do Warszawy drogą na Poznań, Częstochowę i Kraków. Tu na Skałce pomodlił się w drodze w dzień św. Stanisława i odwiedził Akademię krakowską, żeby w księdze pamiątkowej zapisać swe imię. Złożył też wizytę w Puławach Adamowi Czartoryskiemu, zanim stanął 17-go maja w Warszawie.

Następnego roku we wrześniu, niemniej uroczyście jak poprzednio, otworzył ponownie sejm na Zamku. Wówczas na powitalnym wieczorze królowa Amalia wystąpiła w starej kolji szmaragdowej, po swej matce przez Jana Sobieskiego elektorowej bawarskiej.

Po raz ostatni opuścił dobry monarcha Warszawę 28-go grudnia 1811 r., poczem rychło wypadki polityczne po wyprawie Napoleona na Moskwę zmiotły Księstwo Warszawskie po pięcioletniem istnieniu.

A to pięciolecie — jak mówi jeden z młodszych historyków — „dowiodło na nowo i dobitniej jeszcze, niż wielki okres reform XVIII. w., że sama przyroda przeznaczyła istnieniu naszemu kształt wyższy, niż byt plemienny, że żyje w nas siła państwowo-twórcza, która stósownie do okoliczności szuka zawsze odpowiedniej formy dla swego wcielenia.“

Fryderyk August 17-go października 1813 r. wzięty do niewoli po bitwie pod Lipskiem przez Prusaków, którzy od dawna spekulowali na zabór Saksonii, został ogłoszony jeńcem wojennym. Odwieziony pod strażą do Berlina, król żadnym przecież wpływom ni groźbom nie dał się skłonić do wydania swej Saksonii, a nawet założył protest uroczysty przeciw pogwałceniu praw swoich.

Prusacy wywieźli go do Preszburga na Węgry i zabrali mu przeważną część Saksonii.

A równocześnie stracił Fryderyk August już ostatecznie i Księstwo Warszawskie, które uchwałą kongresu Wiedeńskiego w głównej swej zawartości zostało wcielone do Rosyi pod postacią Królestwa Polskiego, a w części powróciło do Prus i Austryi.

Przytaczamy tu słowa rzewne proklamacyi, którą pożegnał się książę-król z mieszkańcami byłego Księstwa. 22-go maja 1815 r. prawie z więzienia w Lauenburgu, wyrażał zacny ten człowiek w sposób zupełnie szczery „żywą boleść, uczuwaną przy rozstawaniu się z poddanymi, którzy dali mi tyle wzruszających dowodów wierności i przywiązania... Ich pamięć wiecznie pozostanie w mem sercu... Ich dobro, które zawsze było przedmiotem ojcowskiej mojej troskliwości, będzie za-

wsze przedmiotem gorących moich do Opatrzności próśb i modłów...“

W umiłowanych studyach nad botaniką, szukając odpoczynku po ciężkich trudach panowania i przecierpianych krzywdach, przeżył jeszcze Fryderyk August potem lat dwanaście, zanim zmarł w Dreźnie 5-go maja 1827 r. w 77-ym roku życia pracowitego i cnotliwego.

W obu krajach, w których panował przed wiekiem książę-król, pozostała po nim wdzięczna pamięć dobrego ojca.



Nieznany Fragment
Juliussa Słowackiego.

Gdy noc głęboka wszystko uśpi i oniemi,
Ja ku niebu podniósłszy ducha i słuchanie,
Z rękami wzniesionemi — na słońca spotkanie,....
Lecę — bym był oświecon ogniami złotemi.

Podemną noc i smutek — albo sen na ziemi,
A już tam gdzieś nad Polską świeci zorzy pręga —
I chłopek swoje woły do pługa zaprzęga,
Modli się. — Ja się modlę z niem i nad niemi...

Tysiąc gwiazd nademną na błękitach świeci
Czasem ta, w którą oczy głęboko utopię,
Zerwie się i do Polski, jak aniół poleci;
Wtenczas we mnie ta wiara — co w litewskim chłopie,
Że modlitwa w niebiosach tak, jak anioł, kopie,
A czasem ziarno ducha wrzuci i zanieci.



Zdania i myśli.

Czem drzewo bez głębszych korzeni, tem duch narodu bez świadectw przeszłości.

Ks. W. Kalinka.

* * *

Kto się z czasem nie liczy, ten nic trwałego nie zbuduje.

Józef Kenig.

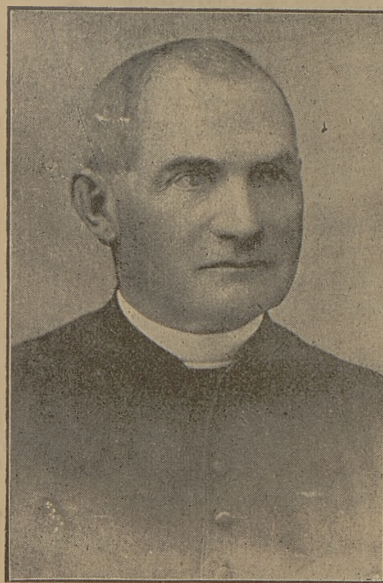


Z żałobnej karty.

Sp. ks. proboszcz Józef Bielewicz.

W Poznaniu w zakładzie Sióstr Miłosierdzia umarł dnia 16-go b. m. znany w szerokich kołach naszego społeczeństwa ks. regens Józef Bielewicz, proboszcz z Wałkowa, a dawniejszy długoletni profesor religii przy gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu.

Ks. regens Józef Bielewicz urodził się 4-go lutego 1834 roku za czasów księcia Ant. Sułkowskiego w Rydzynie pod Lesznem z Andrzeja i Karoliny z Michalskich Bielewiczów. Po ukończeniu nauk w szkole rydzyńskiej, uczęszczał do gimnazyum leszczyńskiego, potem do poznańskiego świętej Maryi Magdaleny, w którem złożył egzamin abituryencki. Po ukończeniu gimnazyum poświęcił się stanowi duchownemu i kształcił się jako kleryk na uniwersytecie w Monasterze. Po otrzymaniu święceń kapłańskich, pełnił najpierw obowiązki wikaryusza w Zbąszyniu przez półtora roku; następnie powołano go na zaszczytny urząd profesora religii i regensa alumnatu przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Urząd ten pełnił przez długie lata, a po skończeniu walki kulturnej, otrzymał probostwo w Gniewkowie, gdzie długo jednak nie przebywał, poczem przeniósł się na wieś do Wałkowa. Zmarły liczył 74 lata, a księdzem był 51 lat. W zeszłym roku obchodził złoty jubileusz kapłaństwa. Starsza generacya poznańska dobrze go pamięta, także młodsza, której tysiące pobierało naukę religii od nieboszczyka.



Ś. p. ks. proboszcz Józef Bielewicz.

Eksportacya zwłok odbyła się w ubiegłą niedzielę po południu o godzinie 5-tej z zakładu Sióstr Miłosierdzia przy placu Bernardyńskim do kościoła św. Marcina. Kondukt żałobny prowadził siostrzeniec zmarłego ks. Bronisław Hertmanowski z Chojnicy pod Poznaniem, więzień za sprawy szkolne, w asyście przeszło 30 kapłanów. Udział w eksportacyi był bardzo liczny.

Następnego dnia przed południem mszę żałobną odprawił ks. Hertmanowski. Po mszy św. wstąpił na ambonę ks. prałat J. Kłos i wygłosił mowę żałobną, w której na tle lepszych, szczęśliwszych stosunków szkolnych za czasów ś. p. dyr. Brettnera scharakteryzował nauczycielską i wychowawczą działalność ś. p. ks. Bielewicza tak, jak ją wszyscy uczniowie jego z szczerą wdzięcznością wspominają. Poczem ks. Hertmnowski znowu z liczną asystą odprowadził zwłoki na nowy cmentarz świętomarciński, gdzie je złożono do grobu.

Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy! *W. S.*

U stóp Chrystusa.

Pod krzyżem Twoim w skrusze przeszło wieków tyle,
I ubóstwia Cię Ludzkość, córa Twoja miła...
Wielkość świata przed Tobą czołgała się w pyle
Miłość ludów Twe stopy łzami czci obmyła.

Czekasz Chryste, by przyszły błogie dziejów chwile,
W którychby ludzkość prawdy Twe ucieleśniła...
Gdy patrząc na Twe lica, kornie głowę chylę,
Wierzę, że serc kamiennych poruszy się bryła.

Lecz, gdybyś dziś oderwał od krzyża ramiona
I stąpił na tę ziemię z słowy proroczemi,
Namiętności - by wrzawa powstała szalona...

Że tę prawdę miłości, wielką niespożytą,
Która od wieków tylu rozbrzmiewa po ziemi,
Na nowo-by Cię, Chryste, do krzyża przybito.

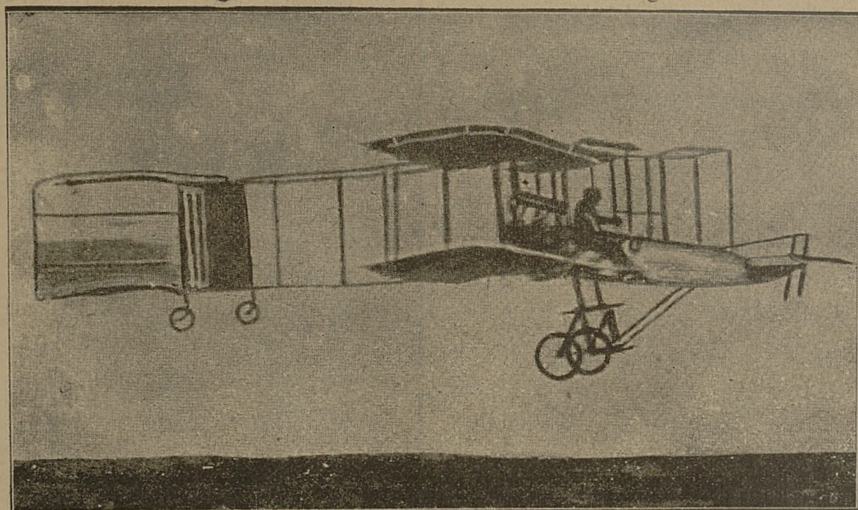
Antoni Pilecki.



Z bieżącej chwili.

Aeroplan Henryka Farmana.

W dziedzinie jazdy powietrznej wynalazki sypią się jak z rogu obfitości; to też wynalazcy zwyczajnych balonów rumienić się muszą mimowoli



Aeroplan Henryka Farmana.

wobec swych kolegów, wynalazców balonów skrzydlatych, prujących lotem błyskawicy, jak ptaki powietrzne. Co więcej, inżynier Włoch, niejaki Forlanini, przedstawił niedawno niezwykły wynalazek na jeziorze włoskiem, Lago Maggiore. Jestto statek i latający i pływający.

Nasza rycina obrazuje statek powietrzny t. zw. aeroplan podczas jazdy, w którym francuski aeronauta, Henryk Farman, skutecznie zaatakował skrzydlate balony t. zw. latające smoki podczas rekordu urządzonego przez francuski auroklub. Farman odbył ze swym aeroplanem na polu manewrów w Issy, mimo silnego mrozu, przestrzeń około 1400 metrów w 105 sekundach i otrzymał nagrodę wynoszącą 50,000 franków.

Człowiek latający, Henryk Farman, syn korespondenta londyńskiego „Standartu“ w Paryżu, liczy 33 rok życia, ale już od szeregu lat oddaje się pracy na polu aeronautyki.

Aeroplan (maszyna do latania) Farmana składa się z centralnej komory długości 10, 2 metrów, a szerokości 2 metrów. W komorze znajduje się motor, a przed nią ster. Powierzchnia całego przyrządu obejmuje 52 metry kwadratowe. Śruba, ulokowana w tyle, ma 2,1 m. średnicy; porusza ją motor stosunkowo bardzo lekki o sile 50 koni.

Postęp w budowie aeroplanów jest szalony, gdyż przyszłością żeglugi powietrznej są maszyny od powietrza cięższe (aeroplany) a nie w statki od powietrza lżejsze (balony).

Sprawy ekonomiczne.

Wywłaszczenie a oszczędności.

Projekt rządowy o wywłaszczeniu poruszył do głębi całe nasze społeczeństwo. Ze sprawą wywłaszczenia złączono cały szereg spraw innych, niepokojących a polegających na nieznajomości rzeczy.

Do takich wiadomości należą wieści szerzone w kilku okolicach Księstwa i Prus Zachodnich, jakoby wywłaszczenie zagrażać mogło także depozytom i oszczędnościom złożonym w naszych Spółkach i Bankach ludowych. Są tedy ludzie, co się obawiają, czy może przy wywłaszczeniu rząd nie zabierze pieniędzy prywatnych z naszych Spółek.

Przypuszczenie takie jest oczywiście zupełnie mylnem. Gdyby wywłaszczenie zostało uchwalonem, odebrać można ziemię tylko za *zupełnem odszkodowaniem pieniężnem*. Bez zapłaty rząd wywłaszczając ani zagona zabrać nie może.

Czy jednak wywłaszczenie mogłoby także ogarnąć Spółki i Banki ludowe? Czy rząd mógłby pieniądze tam złożone zabrać? — I na to pytanie należy dać stanowczo przeczącą odpowiedź. W Spółkach są złożone pieniądze prywatne. I tak jak rząd nie pójdzie do mieszkań poszczególnych obywateli i nie zabierze im z kieszeni gotówki, tak samo nie może zabrać gotówki, którą sobie prywatni ludzie złożyli w prywatnej Spółce. Gotówkę z kieszeni prywatnych ludzi może rząd zabrać tylko uchwalając podatki.

Pojawiają się również często obawy, że rząd w razie wojny może ze Spółek i Banków ludowych zabrać pieniądze na koszta wojny.

Aby na tę wątpliwość dać odpowiedź wystarczającą pamiętać należy, że prócz Spółek prywatnych istnieją bardzo bogate powiatowe kasy oszczędności pozostające pod zarządem urzędników. Gdyby rządowi w czasie wojny zabrakło pieniędzy, z pewnością mógłby sięgnąć do kas powiatowych i miejskich, które mu są najbliższe i których kierownictwo w rządowym spoczywa ręku. Ale i wtedy nie zabrałby rząd z kas powiatowych pieniędzy bez wszystkiego, lecz wziąłby je jako pożyczkę, którąby się zobowiązał spłacić po wojnie, dając tymczasem odpowiednie gwarancye.

Chociażby więc i w takim wypadku pieniądze w powiatowych i miejskich kasach złożone nie przepadły na zawsze, to jednakowoż człowiek, który w nich pieniądze swe złożył na depozyt, niełatwo by je wydobył, gdyż pokądby rząd nie oddał zabranych pieniędzy, kasa powiatowa lub miejska nie mogłaby może wypłacić złożonego depozytu, chociażby go deponent wypowiedział.

Większe jeszcze niedogodności spotkałyby w takim wypadku wszystkich tych, co mają pożyczki z kas powiatowych i miejskich. Chcąc dogodzić rządowi jak najwięcej pieniędzmi, poczęłyby kasy powiatowe i miejskie wypowiadać pożyczki i żądać spłaty. Nie trudno sobie wyjaśnić, komuby pożyczkę wypowiedziano a kogoby oszczędzono. A że w czasach takich niesłychanie trudno o zaciągnięcie pożyczki skądinąd, przeto niejeden może właściciel, nie mogąc spłacić kasy powiatowej lub miejskiej, poszedłby na subhastę.

Nie twierdzimy bynajmniej, jakoby to wszystko nastąpić musiało. Ale jeśli chodzi o pytanie, które kasy w razie wojny więcej są narażone na „pożyczkę“ dla rządu — to z pewnością spotkać to może powiatowe i miejskie a nie nasze Spółki i Banki ludowe w których państwowi urzędnicy nie rządzą.

Bez obawy tedy składajmy pieniądze w naszych Spółkach i Bankach, gdyż tam pieniądz najpewniejszy, pożyczajmy z tychże Spółek w razie potrzeby, bo nam pożyczki nie wypowiedzą wtedy, kiedy najtrudniej ją zwrócić.

* * *

Przyczyna przesilenia pieniężnego.

Na wszystkich targach pieniężnych świata szerzy się obecnie z niezwykłą siłą ostre przesilenie: pieniądz nietylko stał się nadzwyczajnie drogim, ale tak rzadkim, że go czasem zupełnie dostać nie można. Historya gospodarcza świata zna podobne drożyzny pieniędzy, najczęściej jako następstwa wielkich kryzysów finansowych, wyniklych

z katastrof politycznych lub gospodarczych. Obecna drożyzna na targu pieniężnym jest jednak wynikiem wprost przeciwnych czynników. Horyzont polityczny jest od kilku lat — a tem więcej obecnie — zupełnie jasnym. Gospodarstwo społeczne rozwija się wszędzie w sposób niebywały; wszystkie gałęzie przemysłu i handlu są w rozkwicie; zapotrzebowanie produkcyi jest tak potężne, że już brak tu i owdzie surowca. Ceny wszystkich produktów, niewyłączając zboża, stoją na niezwykle wysokim poziomie. I właśnie w tych to pomyślnych objawach tkwi przyczyna drożyzny pieniędzy.

Oto popyt za najniezbędniejszym kapitałem t. j. za pieniądzem, przewyższył podaż. W dzisiejszych czasach, w których każde gospodarstwo, czy to prywatne, zaspakajać zwykło swoje potrzeby kredytowe na targu pieniężnym, t. j. na giełdzie, miarą zapotrzebowania pieniędzy jest wysokość emissyi walorów, i to, tak walorów obligacyjnych (zapisów długu), jak i walorów udziałowych (akcyi).

Sławny ekonomista francuski, Paweł Leroy-Beaulieu, ogłosił bardzo ciekawą pracę, w której zestawił wysokość emisyi świata na podstawie znanych publikacyi statystycznych „Moniteur des interets materiels“ w Brukseli i sporządził bilans popytu i podaży kapitału w całym świecie.

Otóż według tych dat wysokość emisyi roku 1906 przewyższyła wszystkie poprzednie lata. Od roku 1880 do roku 1901 emisye świata wynosiły razem 118,3 miliardów franków czyli przeciętnie rocznie: 8,2 miliardów franków. Między rokiem 1890 i 1901 przeciętna ta dochodziła do 9,866 miliardów. Natomiast emisye jednego roku, t. j. roku 1906 wynosiły 26,5 miliardów; jeżeli od tej cyfry odejmiemy konwersye (renty włoskiej i inne), które jako takie nie wywołały nowego zapotrzebowania gotówki, to dojdziemy na rok 1906 do sumy emisyjnej 16,182 miliardów. Cyfry te nie są oczywiście cyframi bezwarunkowo dokladnemi, jednakowoż odzwierciadlają w szerokich konturach wzrost potrzeb kredytowych cywilizowanego świata.

Leroy-Beaulieu wykazuje na podstawie dość dokładnych, a ze stanowiska metody naukowej zupełnie wiarogodnych obliczeń, że gospodarstwa społeczne świata nie mogły w jednym roku pokryć sumy 16,182 miliardów, reprezentowanej przez emisye, rzucone w r. 1906 na targi pieniężne. Przyrost roczny kapitału, t. zn. oszczędności świata, nie osiągnęły nawet w pomyślnym roku 1906 powyższej sumy. Jest rzeczą naturalną, że w rachubę brać tutaj niepodobna wszystkich oszczędności naszego kraju, gdyż przecież tylko część tych oszczędności szuka lokacyi w walorach; druga część przechodzi w inwestycye wszelkiego rodzaju, przedsiębrane bezpośrednio przez zarządzającego producenta, w pożyczki gotówkowe, prywatne itd.; ta część nie daje się statystycznie uchwycić. Beaulieu taksuje ją we Francyi na 600 milionów rocznie. Następnie od sumy oszczędności rocznych danego narodu odciągnąć należy rozliczne straty kapitału, które według Beaulieu dochodzą we Francyi do sumy 700 milionów rocznie. Dochód roczny Francyi wynosi, według obliczeń rządu francuskiego, 22 do 27 miliardów franków. Z tego dochodu przynajmniej połowa ginie w konsumcyi; z drugiej połowy t. j. 13,5 miliardów w najlepszym razie 20 proc., t. j. kwotę 2,7 miliadów oszczędzają obywatele Francyi. Jeżeli od tej kwoty oszczędzonej odciągniemy nasamprzód straty, obliczone powyżej na 700 milionów i 500 milionów, inwestowanych w lokatach, nie dających się uchwycić statystycznie, to przekonywujemy się, że roczny przyrost kapitału francuskiego oszczędzonego, szukającego lokacyi w walorach, wynosi w najlepszym razie 1,5 miliarda.

Zasób tych oszczędności rocznych w reszcie krajów cywilizowanych świata, oblicza Beaulieu, jak następuje:

	franki	
Stany Zjednocz. Ameryki	3.000	milionów
Anglia	2.000	„
Niemcy	1 500	„
Austo-Węgry	800	„
Holandya-Belgia	700	„
Włochy	300	„
Hiszpania-Portugalia	250	„
Rosya	500	„
Kraje skandynawskie	200	„
Reszta Europy	200	„
Reszta świata	500	„
Razem	9.950	„

a wlączywszy kwotę francuską, dochodzimy do ogólnej sumy 11,45 miliardów franków.

Przyrost kapitału zaoszczędzonego i zarobionego w produkcyi świata, a szukającego lokacyi w walorach, wynosi zatem w najlepszym razie rocznie *11,45 miliardów,* podczas gdy popyt za kapitałem, reprezentowany przez nowoemitowane walory, doszedł w jednym roku (1906) do kwoty *16,25 miliardów.* Popyt za kapitałem był zatem w roku 1906 z górą o 5.000 milionów franków większym od podaży.

W tej dysproporcyi leży przyczyna przesilenia pieniężnego, wstrząsającego dzisiaj światem, a objawiającego się w wysokiej cenie kredytu, t. j. stopy procentowej i w silnym spadku kursów wszystkich walorów na wszystkich giełdach świata. Jedynym środkiem zaradczym przeciw szerzeniu się tego niezdrowego kryzysu jest — podobnie jak w gospodarstwie indywidualnem, w którem potrzeby przewyższają dochody — ograniczanie tych ostatnich; jest rzeczą pewną, że i w gospodarstwie świata równowaga ta nastąpi niedługo.

Wspomnieliśmy wyżej, że obliczenia Leroy-Beaulieu'go, mimo fantastyczności cyfr, są w istocie wiarogodnemi. Dowodem tego są między innemi daty statystyczne, ilustrujące kolosalny wzrost zadłużenia wielkich miast pruskich, a więc daty, które nie są pozbawione szczególnego interesu. Oto, jak wzrosły długi miast pruskich od roku 1896 do roku 1902:

Akwizgran z	12.6	milion.	marek na	23.4
Barmen z	30.2	„	„	„ 34.0
Berlin z	273.4	„	„	„ 331.9
Bochum z	7.0	„	„	„ 12.4
Charlotbg. z	20.7	„	„	„ 54.9
Kolonia z	42.9	„	„	„ 86.4
Düsseldorf z	28.8	„	„	„ 55.0
Essen z	13.8	„	„	„ 26.4
Halla z	14.6	„	„	„ 28.6
Królewiec z	19.1	„	„	„ 43.8
Frankfurt z	65.4	„	„	„ 122.1
Wiesbaden z	15.0	„	„	„ 30.0

Najciekawszym zaś faktem jest, że podczas gdy emisye miast niemieckich w roku 1905 wynosiły 180 milionów marek a w całym roku 1906 nie przekroczyły 250 milionów, to w pierwszych sześciu miesiącach bieżącego roku doszły już do niebywałej sumy 285 milionów. Zadłużenie miast niemieckich wzrośnie zatem w roku 1908 przeszło do 100 proc.

Z cyfr powyższych, wykazujących dobitnie, że do silnego naprężenia kredytu w niemałej mierze przyczyniły się także coraz więcej rosnące potrzeby gospodarstw miejskich, wynika, że popyt za kapitałem pieniężnym w ostatnich czasach był istotnie największym. Nic też dziwnego, że właśnie w ostatnich miesiącach stopa procentowa najwyżej się podniosła, a kursy walorów najsilniej spadły.



Pogadanka naukowa.

Skarby atmosfery.

Bardzo interesujący odczyt o skarbach, jakie się kryją w otaczającej nas atmosferze, wygłosił w tych dniach w Berlinie profesor tamtejszy Linde. Powietrze bowiem od długiego czasu stało się dla wielu fabryk surowcem, którego składniki przerabiają techniczną drogą na produkty, znajdujące liczne zastosowanie w rolnictwie, metalurgii i t. p.

Prelegent rozpoczął przedstawieniem historycznego rozwoju badań atmosferycznych, począwszy od odkryć Torricellego i Ottona Guerike'go aż do skropienia gazów, do wyników, jakie uzyskał Lavoisier, i dalej do technicznego spożytkowania skroplonego tlenu, którego produkcya w ostatnich latach dziesięciokrotnie się zwiększyła, do zastosowania azotu przy fabrykacyi lampek elektrycznych z metalowemi żarówkami i t. d.

W obecnej chwili najważniejszym produktem, uzyskanym z powietrza atmosferycznego, są połączenia azotowe, stosowane w rolnictwie. Jestto zdobycz techniczna tem ważniejsza, ponieważ w niezbyt już odległych czasach grozi wyczerpanie się pokładów saletry, a wtedy zarówno rolnictwo, jak technika środków wybuchowych będą musiały zapewnić sobie uzyskiwanie tego materyału z innych źródeł.

Pierwsze rozwiązanie problemu, mogące znaleźć zastosowanie przemysłowe, jest dziełem dwóch Norwegów: Birkelanda i Eydego. Później zastosowała tę samą metodę badeńska fabryka aniliny i sody, która z pomocą nowych, prostszych jeszcze aparatów, osięga wprost zdumiewające wyniki.

Obie połączone fabryki: norweska i badeńska pracują siłą wodną około 300,000 koni; kapitał zakładowy wynosił 40 milionów marek. Berlińscy chemicy Frank i Caro produkują z powietrza swoim własnym systemem sztuczne nawozy, które pozyskały już w rolniczych sferach znaczny rozgłos i odbyt.

Ważnem jest i to także, że w ten sposób będzie można wykorzystać siły wodne nawet w tych okolicach, gdzie obecnie są one nieużyteczne z powodu odległości od centrów przemysłowych lub z powodu braku jakiegoś surowca do przerabiania. Powietrza jako surowca nie zabraknie tam nigdy, korzystając więc z naturalnych sił wodnych, będzie można produkować z niego czy kwas saletrzany, czy sztuczne nawozy i t. p.

Finansiści, jak dotąd, nie wahają się wkładać w te fabryki pieniędzy, to też powstały już lub mają powstać w najbliższym czasie fabryki w Apeninach, w Alpach sabaudzkich i szwajcarskich, w Norwegii, w Dalmacyi i południowej Bawaryi. Korzystanie ze skarbów atmosfery rozpoczyna się na wielką skalę.



Pogadanka hygieniczna.

Czy pić przy jedzeniu?

Znakomity specyalista chorób żołądka, profesor Ewald, daje w tej mierze bardzo uspakajające wyjaśnienia wszystkim tym, którzy z trwogą spoglądają na każdy łyk płynu przy jedzeniu.

Przedewszystkiem, powiada on, każdy powinien z praktyki wybadać, czy popijając przy jedzeniu, nie wywołuje tem pewnych dolegliwości. Zwykle wszakże nikomu zdrowemu to nie szkodzi, jeśli jedząc, pije przytem umiarkowaną ilość wody, czy też tego lub owego napoju. U przeważnej liczby osób stało się picie do tego stopnia zwyczajem, iż np. nie mając przy obiedzie wody, nie tkną niczego, tracą bowiem zupełnie apetyt. W takim wypadku byłoby niedobrze, odejmować tym osobom — o ile są zdrowe — napitku, do jakiego przywykły.

Żołądek nasz wogóle daje sobie doskonale radę z płynami. Spożywamy ich przecie wcale pokaźne ilości w potrawach, i to nietylko w rosole, czy polewce, lecz wogóle we wszystkiem, co tylko jest jadalne. Widocznie zaś nietylko znosi on płyny, lub lubi je nawet, skoro tyle osób, im więcej zje, tem więcej też pić musi.

Medycyna do niedawna obawiała się, że płyny, rozcieńczając soki trawienne, mogą tem właśnie wywołać różne niedomagania żołądka. Najnowsze jednak badania wykazały, że żołądek pomimo nawet takiego rozcieńczenia trawić może doskonale. Ma on zresztą sposób na nadmiar płynu; wydala go z przewodu trawienia, dla siebie zachowując tylko cząstki o stalszej konsystencyi.

Obojętnem jest też wedle prof. Ewalda, co się pije przy stole. Do czego i kto przywykł — oto jedyna w tym kierunku wskazówka. Oczywiście, mowa tu ciągle o umiarkowanem piciu.

Również temperatura płynów, jakich używa się przy jedzeniu, nie odgrywa doniosłej roli. Gwałtowne oziębienie żołądka nikomu nie sprawia przyjemności, ale przyjemne chłodne napoje pozostają bez ujemnego wpływu na trawienie. Tu zresztą zawsze rozstrzyga osobiste upodobanie lub przyzwyczajenie, i każdy sam wymiarkować powinien, co mu służy, a co nie służy.

Koniec końcem więc, niema powodu do obawy o zdrowie osób, które przy jedzeniu piją. Wyjdzie to im tylko na zdrowie, jeśli pod tym względem nie przekroczą miary.

Inna rzecz oczywiście z chorymi. Co do nich, winien w każdym wypadku rozstrzygać lekarz, czy, ile i co pić im wolno przy jedzeniu — a zwłaszcza zaś, jeśli są chorzy na żołądek.



Ogrodnictwo.

Woda i podlewanie.

I.

Ogrodnictwo odpowiednio do swych zadań i celów, rozpada się na wiele gałęzi, na czele których stoi ogrodnictwo ozdobne czyli parkowe, a jego zadaniem jest otoczenie siedzib poezyą, podnoszenie do potęg iześrodkowanie piękności przyrody. Woda przytem odgrywa także wielką rolę, lecz estetyczne zastosowanie wody w postaci strumieni, stawów, kaskad, fontan i t. d. tu zupełnie pominę, gdyż uwzględnienie tej kwestyi przekroczyłoby granice artykułu w gazecie. Zatem będę mówił tylko o praktycznem, prozaicznem zastosowaniu wody, w którem adepci naszego zawodu, zarówno jak amatorzy i dyletanci wiele popełniają błędów, to też wydaje mi się rzeczą pożyteczną wypowiedzenie w tym przedmiocie kilku wyjaśniających poglądów.

Środki, któremi rozporządza nasza wytwórcza działalność, a za pomocą których osiągamy wszystkie liczne wyniki są: ziemia, powietrze, światło, ciepło i woda — zastosowane w właściwym, odpowiednim rozmaitym celom, stosunku. Zajmiemy się tu wyłącznie wodą, jako czynnikiem najważniejszym w życiu roślin, w użyciu którego najwięcej popełnia się błędów. Jeżeli zadaniem ogrodnika jest nietylko utrzymanie przy życiu roślin wszelkich stref, na każdym punkcie ziemi, dokąd sięga cywilizacya, lecz także doprowadzenie ich do najwyższego stopnia doskonałości, odpowiednio do specyal-

nych celów, z tego wynika, że rośliny, które tylko w donicach lub kubłach mogą u nas istnieć, powinny być utrzymywane w normalnej piękności i zdrowiu.

Chora, albo nędzna roślina usposabia źle właściciela, a hodowcę swego oskarża wymownie, że z nią źle postępował. Przeciwnie: roślina prawidłowo zdrowa, w pełnym rozwoju swych właściwości, zdobywa uznanie, a nawet podziw nietylko znawców, lecz i profanów. Zatem piękne rośliny są propagatorkami, powiększającemi liczbę przyjaciół tej najpiękniejszej ozdoby ziemi, którą jest roślinna jej szata. Rzeczą jest zrozumiałą, że duma, ambicya i miłość własna pobudzają każdego hodowcę roślin do zastosowania całej inteligencyi i pilności, by ten cel osiągnąć, podobnie jak zapoznawanie lub nieocenianie tych prac, spowodowywa poniżenie stanu ogrodniczego, spełniającego przecież rolę kapłanstwa w świątyni przyrody. Umiejętność, możność i chęć zapoznania się z naturą roślin, zrozumienie języka roślinnego, zdolność zaspokojenia wszystkich ich potrzeb — oto są czynniki, które we wszystkich ziemi zakątkach otaczają ogrodnika pewnym nimbem, dostarczają mu duchowego zadowolenia i usuwają nawet na bok troski o kawałek chleba powszedniego.

Ze wszystkich jednak prac ogrodnika użycie wody najprędzej wykazuje jego zdolność, lub przeciwnie jego tępy umysł, dla tego pragnąłbym zwłaszcza w młodych uczniach wzbudzić postanowienie, by każdą pracę wykonywali ze szlachetnem ożywieniem, doskonale. Najprzód tedy będzie mowa o roślinach doniczkowych, bo tu osiągnąć doskonałość najtrudniej.

Twierdzenie, że być w tej sprawie mistrzem równie rzadko się zdarza, jak być w muzyce koncertantem — wolne jest od przesady. Jest ono o tyle zrozumialszem, że niema żadnych akademii, ani instytutów, któreby tej sztuki uczyły; że właściwie nie ma w języku wyrazów, któreby mogły kogoś uczynić zdolnym do ocenienia z szybkością błyskawicy, czy i ile dana roślina potrzebuje wody? Odcienia są tu nieledwie tak liczne, jak osobniki, które mamy traktować. Dochodzi do tego wzgląd na stanowisko, pogodę i porę roku. Śmiało można powiedzieć i twierdzić, że właściwymi nauczycielami są tu same rośliny; kto je lubi, ten prędko pozna, czego potrzebują. Zamiłowanie więc roślin, zamiłowanie swego zawodu, to są warunki, aby być dobrym ogrodnikiem. Jakże to jest możliwem powiedzieć, ile i jak często roślina potrzebuje wody, gdy wpływy zewnętrzne powodujące prędsze lub powolniejsze spotrzebowanie wody, tak są różnorodne? Podlewaj zdrową roślinę tak często, jak ona tego potrzebuje i daj jej tyle, ile potrzebuje. Z tego jak również ze spostrzeżeń, które każdy hodowca codzień czynić może, wynika ta główna zasada, że każdej zdrowej roślinie tyle należy dać wody, ile jej potrzeba do zupełnego napojenia bryły korzeniowej, a polanie powierzchowne ma tylko ten skutek, że głębokie korzenie całkiem zaprzestaną działać, obumrą lub pogniją, co prędzej lub później spowoduje śmierć rośliny. Przy hodowli pokojowej to niebezpieczeństwo jest jeszcze większe, niż w odpowiednich dla roślin szklarniach, ponieważ mieszkania, zawierające suche i zakurzone powietrze, a przytem mało światła, dla życia roślin są nieodpowiednie. Gdy więc rośliny pokojowe mają trudne do życia warunki, trzeba im to wynagrodzić subtelną pielęgnacyą.

Rozmowy często słyszane wykazują najlepiej niepojmowanie warunków życia roślinnego. „Podlewam rośliny codziennie, każdą po trochu, boję się podlać za dużo, ponieważ słyszałam, że nadmiar wilgoci roślinom szkodzi,“ albo: „Nie mogę dużo podlewać, bo woda niszczy posadzkę i kobierce.“ Że przy takiem postępowaniu nawet palmy, które najłatwiej zgadzają się z pokojowem powietrzem, w ciągu miesiąca marnieją, niema dziwu, tym więcej, że u miłośników, którzy sami swoje rośliny podlewają, niemal każdy rodzaj w pokoju udaje się, a szczególniej do tej hodowli przydatne rozrastają się w okazale egzemplarze, które niekiedy zawstydzają właściwych ogrodników. Nie można łatwiej ocenić charakteru człowieka, jak z powodzenia hodowli roślin: tu się wykazuje jego pilność, zamiłowanie porządku i logika myśli.

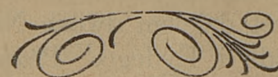
Wprawdzie podlewanie codzienne jest najlepszem, gdy wejdzie w rutynę, jak codzienne karmienie kanarków, lecz należy podlewać tylko kwiaty potrzebujące wody, a mające jeszcze mokrą ziemię, muszą być opuszczane. Tylko przy takiej dyecie mogą rośliny być zdrowemi, a chore znowu odzyskać zdrowie. Odsyłanie chorych roślin ogrodnikowi celem przesadzenia, jest w większości wypadków przyspieszeniem ich śmierci, gdyż każde przesadzenie jest czynnością gwałtowną, a po przesadzeniu podlewanie daleko jest trudniejszem i ważniejszy wpływ wywiera, niż na zakorzenione oddawna rośliny.

A zatem podlewać zdrowe rośliny obficie i tak często, jak potrzeba, oto jedyna zasada. Niepodobna przecież, żeby hodowca cały swój czas spędzał jedynie na pilnowaniu podlewania roślin, więc musi sobie obmyśleć jakiś system ułatwiający. Czasem najwłaściwszym jest 4-ta godzina po południu w lecie w dnie pogodne. Przedpołudniowa kontrola jest potrzebna tylko dla tych hodowców, co do których nie jesteśmy pewni, czy nie przepatrzyli jakiej rośliny, potrzebującej podlania. Takie poprawki są koniecznie potrzebne dla małych roślin, będących w doniczkach sadzonkowych i w lekkiej ziemi, podczas pory gorącej. Podczas miesięcy jesiennych i zimowych, czasem najwłaściwszym do podlewania jest przedpołudnie od godziny 10-tej. Jednakże w tej porze, ubogiej w światło i ciepło, można nie podlewać nawet tydzień, albo i dłużej, ale tylko w szklarniach. Wyjątek stanowią cieplarnie i pewne miejsca bliżej ogniska położone. Te właśnie szczegóły są zadaniem hodowcy, a jeśli hodowca ma zamiłowanie zawodu i poczucie obowiązku, wypełni z pewnością swe obowiązki. Nagroda za ten trud może nigdy nie będzie materyalną, ale za to będzie radość ze zdrowych wychowanek i uznanie każdego, kto je zobaczy, poszanowanie, którem mu wszyscy odpłacą, albowiem jego charakter i stopień wykształcenia odzwierciadlają się w jego działalności.

Jan Wachowski, ogrodnik.

Niechanowo, w grudniu 1907 r.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Złote listki.

O! biada światu, gdy w złości niweczy
To, co w geniuszu po Panu jest święte;
A geniuszowi biada, jeśli przeczy
Temu, co dane i od Boga wzięte.

Wincenty Pol.

* * *

. . . biada,
Kto z krzywdzicielem do stołu zasiada,
Kto z jego ręki kęs chleba rozłamie,
Bo tutaj każda płaci się okrucha
Boleścią ciała lub spokojem ducha.

Władysław Syrokomla.

* * *

Kto na wiatr czeka, nigdy siać nie będzie,
Kto w chmury patrzy, plonu nie zdobędzie.

Kornel Ujejski.



I. Brandt. PORWANIE.

Dzwon Jan.

Wybrałem się umyślnie na wieżę kościoła, aby go widzieć. Stara przedwieczna dzwonnica pełna wiązań i krokwi dębowych. Na dole, w ciemnicy, leżą stare zbutwiałe chorągwie kościelne. Gdy czas je zniszczył, wicher adamaszek potargał, zniesiono je tu, aby zbutwiały. Wśród próchna tkanin tlejące kwiaty papierowe, które świece na ołtarzu stroiły, zżółkłe, opadłe z igieł chojaki jodłowe, które podczas Wielkiego tygodnia grób Zbawiciela otaczały.

Strome schody prowadzą na wieżę. Konstrukcya ich urąga przepisom budowlanym miejskim. Co krok, to schoda brak, złamano go snać i wyrzucono, nowego zapomniał sobie sprawić dziaduś, który codzień na ranną mszę i na Anioł Pański dzwoni. Jemu te drabiny wystarczą, on po omacku na wieżę wejść potrafi, ze strachem idzie tam jednak ten, kto przywykł do eleganckich westibulów wielkomiejskich kamienic. Nerwowo człowiek trzyma się wyślizganej poręczy, bo każdy schód ugina się i trzeszczy. Wszedłem wreszcie na wieżę. Wspaniały widok na miasto, wspaniały kształt i wygląd dzwonu. Zgrabne obręcze, piękne ornamenty po spiżu lecą, w zagłębieniach liter proch się osadził, pokryta nim płaskorzeźba na Janie, cały dzwon patyną starości jakby pleśnią okryty.

Słonko zachodziło, czas na Anioł Pański, wszedł na wieżę dziaduś, dzwon Jan zagrał. W uszach huczy ogromna harmonia spiżu, snać moc złota i srebra wmieszano w szlachetny metal, muzykę swą strojną dzwon w przestrzenie wysyła; w głosie, któremu poddała się dusza, wszystko znajdziesz, co mieszka w twej duszy i żałość niezmierną i płacz i radość, pogrzeb, który kwileniem sierot płacze i głos nadziei, która woła, abyś nie liczył grud ziemi, lecz gwiazdy na niebie.

Spoczął dziaduś; rozhuśtany dzwon, choć serce weń nie uderza, gra jeszcze harmonią spiżu, ciszej już, jakby w czerwcowy wieczór muzyka usypiającej braci grała, scichł wreszcie.

Słońce zapadło, pociemniał świat, zapóżno już, aby odczytać archaistyczne minuskuły na dzwonie, przypatrzeć się rzeźbom, poszukać znaku lub monogramu mistrza, który go odlewał. Pragnąłem obejrzeć dzwon bliżej, dowiedzieć się, dlaczego nosi imię Jan. Wnet to stało się dla mnie wiadomem. Dziwnym zbiegiem okoliczności musiałem jeszcze tego wieczora zajrzeć do archiwum miejskiego, aby tam znaleść kodeks, potrzebny mi do pracy nad historyą miasta. Gdym szukał kodeksu, wpadły mi w ręce stare annały radzieckie, w nich zaś zbutwiały dokument, opisujący chwilę, w której powstał dzwon Jan...

* * *

W odlewarni Marcina Zwilkłego, rajcy miejskiego, ruch ogromny i praca gorąca. Cieśle przyszli, krokwie budują, pomosty zbijają, mularze zburzyli szczyt hutniczego pieca, czeluść ogniska powiększają, piec rozszerzają, wysoką hutę budują. Bo nadszedł czas wykonania ogromnego dzieła, jakiego huta rajcy Zwilkłego nigdy nie widziała. Takie wielkie dzwony leją tylko we Wrocławiu i w Krakowie; arcydziełem takiego odlewnictwa jest ów przesławny dzwon, który król Zygmunt kazał ulać.

Sam mistrz Marcin nad wykończeniem modelu pracuje. Przed nim wzór i forma wielkiego dzieła: ostrzem rylca kwiaty rysuje, od pięciu dni cyzeluje Ukrzyżowanego Zbawiciela, który płaskim reliefem zjawi się na dzwonie. Na dolnej obręczy napis bieży. Długo myślał ksiądz pleban, długo radził się burmistrz ławników, co na dzwonie, fundowanym przez miasto, napisać. Myśleli i niczego nie wymyślili. Raz pojechał mistrz Zwilkły do Krakowa, pokłonił się trumnie św. Stanisława, a gdy wyszedł na dziedziniec zamku królewskiego, już wiedział, co napisać.

Nad bramą zamkową były wyryte słowa: *„Si Deus nobiscum, quis contra nos?!“* Dziwnie te słowa w sercu zagrały, zapisał je, wsiadł na furę, nocą jechał, nad ranem w domu stanął, po jużynie do rajcy Pależykąta bieży.

— Wiem, co na dzwonie napisać.

— Mówże, panie sąsiedzie.

— Jeśli Bóg z nami, to któż przeciw nam?!

Schwalił wielką myśl burmistrz, schwalił pleban, schwaliła rada miejska. Szeroki pas kwietny naokoło dzwona się snuje, a na pasie napisano: *Si Deus nobiscum, quis contra nos?!* Nie zapomniał rajca Zwilkły wypisać swego imienia. Należy mu się, aby za jego trud, za jego pracę znak jego poszedł w przyszłe pokolenia. Wszak dzwon leje się nie na rok i nie na lat dziesięć. On wieki będzie ludziom opowiadał Bożą chwałę. Usiadł mistrz przy modelu i rysuje zgłoski: *D. O. M. Martinus Zwiklius me fecit A. D. 1683*. . . . .

* * *

Praga ognia formę wypaliła, sędziwemu mistrzowi pół wieku ubyło. Stary odlewnik Zwilkły, jako dwudziestoletni młodzieniaszek koło hutniczego pieca biega, kuźni, ogniska, kotła, rusztowań i formy dogląda. Wszystko idzie dobrze, wszystko szczęśliwy koniec pracy zapowiada.

I cieszy się mistrz Zwilkły, jakby dziecko. Bo ten dzwon, to nadzieja jego, chluba jego warsztatu, jego imienia. Takiego ogromu w życiu nie robił. Dziesięć lat kołatał u rady miejskiej, dziesięć lat księdzu plebanowi do nóg się kłaniał. I zaprawdę nie o grosz, nie o zarobek Zwilkłemu chodziło. Mieszczanin zamożny, dom miał i rolę, miał warsztat, w którym dwudziestu czeladzi, dwudziestu „przemianków“ pracowało. Nie pieniądze śmiały się do niego, lecz wielkie sławne dzieło, takie, jakie czeladnikiem będąc, widział w Krakowie, Warszawie i Wrocławiu. Wykołatał wreszcie grosz, wykołatał miedź i spiż. Musiało się miasto zdobyć na ten dar dla kościoła, bo przedwieczne dzwony pękły, zamilkła wieża kościelna, nie ma kto ludzi do kościoła wołać, brak harf, któreby grały, zwiastując Anioł Pański. Dziś wielki czyn z rąk mistrza wychodzi. I śmieje się do formy, z której wyjdzie ukochane jego dzieło. Patrzy w cyzelowany kształt i szepce:

— Ty mię pochowasz! Twój głos mnie do grobu powiedzie.

I myśl o śmierci nie przeraża staruszka:

— Usłyszę twój głos i zamknę powieki.

* * *

Takiego ruchu, takiej wrzawy, takiego zachwytu i takiej wspaniałości, jak miasto miastem, nigdy nie było. Przyjechała na rynek chorągiew hussaryi, jakby szare domy miejskie rozjaśniały blaski stalowych zbroic; na mieście, na którem trzepocą się w wietrze barwne chorągiewki kopij, wygląda, jakby ten rynek był łąką, na której zakwitło tęczowe kwiecie. Wyszła na przyjęcie hussaryi rada miejska, serdeczną brać wita, na ratusz prosi, gościnę i posiłek ofiaruje. Wojsko idzie w daleki kraj bić się za wiarę Chrystusową, na krwawą wojnę trzeba pieniędzy i ludzi; na co miasto stać, to w ręce hussaryi, matce rzeczypospolitej składa.

Podczas uczty w ratuszu burmistrz wznosząc zdrowie wojewody, dziesięć tysięcy czerwonych złotych do skarbca wojennego złożył; stu pachołków, których żądał wojewoda, własnym kosztem miasto uzbroiło. Wniósł burmistrz zdrowie miłościwego pana, Jana III, z pełnych kielichów rada na pomyślność żelaznej hussaryi pije.

Ujrzał pułkownik z okien ratusza ruch na mieście wielki.

— Co się to dzieje?

— Za murami wielki dzwon leją.

— Procesyę ze sztandarami widzę.

— Ksiądz pleban formę poświęca, aby szczęśliwie zbożne ukończono dzieło.

— No i nam tu nie siedzieć.

— Tak jest, chodźmy! — rzekł do burmistrza wojewoda.

— Właśnie i ja chciałem to mówić do waszej miłości.

Poszła rada z hussaryą na miasto, gdzie mistrz Zwilkły pracuje. Dziesięć tysięcy ludzi odlewarnię otoczyło. Z pieca, gdzie się w okropnym ogniu kruszec topi, bije taki żar, że oddech zatyka i mrozi. Gdy wiatr popłynie i fale rozpalonego powietrza na lud rzuci, to jakby para spiżowego ukropu ludzi zaleciała, tak piecze to gorąco, ta straszliwa praga...

Wyszedł wojewoda na rusztowanie, zdjął z palca ciężki pierścień złoty i do kotła wrzucił. W ślad jego złoto i srebro rzuca hussarya. Nie zostać w tyle za szlachtą burmistrzowi. Wszak *civis cracoviensis nobili par*, a on w niczem nie jest gorszym od obywatela krakowskiego. Miał na szyi bogaty łańcuch burmistrzowski, oznakę swej godności i władzy.

Zadźwięczały w powietrzu złote, ciężkie ogniwa, wpadły w ziejącą żarem czeluść pieca. Ksiądz pleban garść monety złotej rzucił, wszystko, co żyje pierścienie, guzy i pieniądze do kipiątka niesie. Rajca dał dukat, kuśnierz srebrnego talara, dziad, co pod kościołem chleba prosi, rzucił wytartego, miedzianego półtoraka.

Przecisnęła się przez tłum ubogo ubrana sierota, chustkę czerwoną wyrobnica rozwiązała, srebrny talarek wydobyła, rzuca go w piec i mówi:

— Dzwonić będziesz i módlić się za mnie, ty szczere srebro moje...

Zwilkły oddalił wszystkich od pieca, na czeladź krzyknął, pomocnicy latają jak szaleni, wołania, rozkazy się rozlegają, przystąpił mistrz do kotła, ludzie oddech wstrzymali — otworzył upust, szelest i huk ogromny. To spiż bieży do formy, leje się i wali — forma jakby żywa, jęczy i szeleści.

A ksiądz pleban w chwili, gdy wielkie dzieło powstaje, otwarł złotą księgę i mówi.

— Błogosław Panie dziełom rąk naszych, owoc naszej pracy niech będzie chwałą imieniu Twemu...

* * *

Hussarze opuścili miasto, staruszek Zwilkły pilnie nad swojem dziełem czuwa. Wielka to była chwila, gdy czeladź kilofami rozbijała formę, w której kryła się tajemnica, jak odlewał się dzwon. Pękła gruba calizna wypalonej gliny, we wrześniowem słonku spiż zabłysnął w powietrzu, wnet spadły reszty ceglanych czerepów...

— Wydarzył się! Wydarzył!

— Bogu niech będą dzięki.

Powrozami spętano spiż, blokiem go czeladź na rusztowanie podniosła, praca teraz nowa, potem okrywa czoła. Pięciu ludzi metal piłuje; zgrzypi, świszcze, syczy, piszczy i gwiżdże pilnik. Piekielna zaiste muzyka; przyzwyczajony snać do niej mistrz Zwilkły, na stopniach rusztowania stoi, mękę Pańską cyzeluje, litery poleruje i gładzi, kwiecie, biegnące w obręczy, ornamentem równa i rysunkiem zdobi. Pot silny na czoło starca wystąpił...

Dziwny dzień. Wrześniowy upał, a tak niezwykły zawiał wiatr... Dziki jakiś, wilgotny podmuch, jakby wniósł chłód jesieni i zgniliznę jesieni...

Otarł z potu czoło rajca Zwilkły..

— Co mu jest...

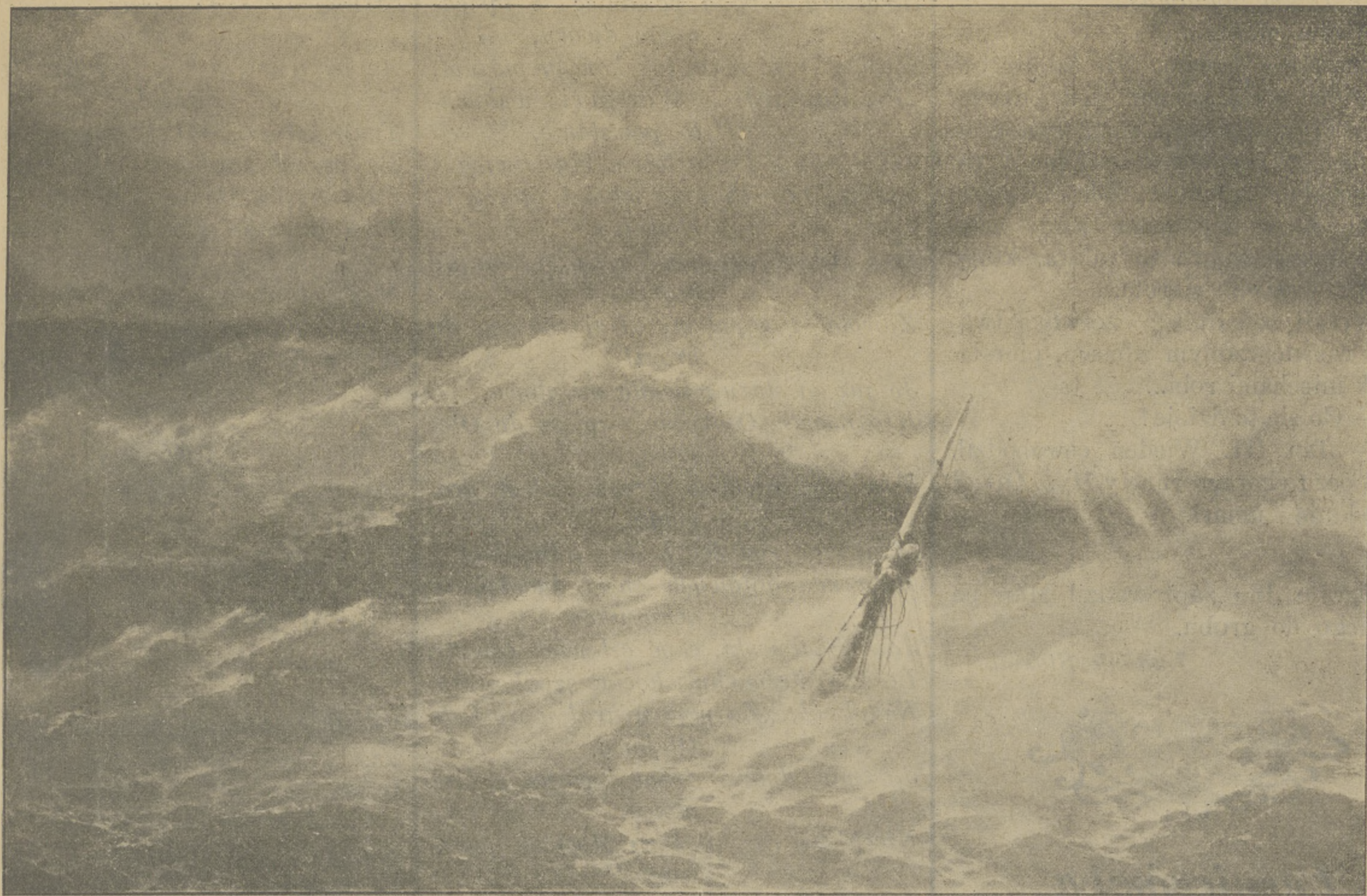
Siły go nagle opadły, pilnik i rylec wypadł z ręki, zachwiał się starzec i upadł na ziemię.

Ujęła go pod ręce czeladź, do domu prowadzi.

W nocy wystąpiła gorączka ogromna. Rozpalone czoło starca, ręce drżą nerwowo, gardło syczy i rzęży, rzuca się niespokojnie po łożu, patrzy na otoczenie błędnemi oczyma, nie poznaje nikogo... Majaczy i dziwne rzeczy mówi.

— Ty mnie pochowasz! Twój głos mnie do grobu zawiedzie.

Choroba się ciężka rozwinęła, ba-



I. Ajwazowski.

W OTCHŁANI.

by zielem wszelakiem staruszka leczą, w tajemnicy przed księdzem plebanem zawołano znachora, który zamawiania czynił, zaklęcia i gusła na pomoc wzywał. Prawie codzień wraca zimnica, wreszcie gorączka już nawet słabnie, siły wyczerpane, życie więdnie i gaśnie. A przecie, gdy gorączka minie, gdy przytomność wróci, mistrz Zwilkły ciągle i ciągle o swem ukochanem dziele mówi, o swym majstersztyku opowiada; choć nikogo w izbie nie ma: to mówi:

— Usłyszę twój głos i zasnę na wieki.

Posłał mistrz po czeladnika i pyta się:

— A dzwon nasz?

— Wspaniałe dzieło przez wieki chwalić będzie Pana.

— Gotoweż?

— Roboty szlifierskie skończone

— Wnet powiesicie?

— W Chełmnie pięć par wołów zamówiono, cieśle robią wóz, na którym niezmierny ciężar pojedzie.

— Kiedyż będzie na wieży?

— Kto to wie, może za tydzień, może za dwa.

Rozpłakał się mistrz Zwilkły.

— Już cię nie usłyszę.

— Uspokój się, nie płacz, mości panie.

— Nie usłyszę głosu jego.

— Bądź dobrej myśli. Bóg ci da sił.

— Lada chwiła zamknąć przyjdzie oczy.

Czeladnik milczał. Widział zapadłe lica i zagasłe oczy, nie mógł mistrza pocieszyć, bo nie chciał kłamać.

— Co w świecie słychać — zapytał się chory.

— Król Jan wyruszył w świat daleki.

— Niechże go ręka Boża prowadzi, [illegible] szczęście i chwałę

* * *

Przytomność gaśnie, straszne gorączki wracają. Niemasz zaprawdę nadziei. Dzwon przywieziono na żelaznych kołach, wniesiono na wieżę, stanął na osiach, za dziesięć dni, w święty Michał jego imieniny. We święty Michał ksiądz pleban nada mu jego chrzestne miano. Rajca Zwilkły zawieszenie dzwonu w gorączce przeleżał, o bożym świecie nie wie...

. . . .

Otworzył oczy. Słońce wrześniowe jasno świeci. Przed oknami kościół i dzwonnica. Hałas jakiś dolatuje uszu mistrza i zgiełk...

. . . .

Miasto oszalało. Na rynek przyleciał hussarz. Tak leciał światem, że nie zdołał ze zbroi zmyć zaschłej krwi. Stanął hussarz na rynku i w tłum jakieś słowo rzucił. Słowo wpadło w ludzkie dusze, zawrzała krew, szaleją ludzie. Krzyki i wołania. Lecą przez ulicę mieszczanie i krzyczą. Tłum pędzi do ratusza, inni do kościoła, inni do plebana. Rzemieślnicy warsztaty opuścili, wszystko na miasto bieży. Wre to morze ludzkie, szaleją tysiące ludzi. Dwoch rajców przypadło do dzwonnicy: drzwi z tarcic zabite gwoździami. Chwycono topory, drzwi wyrąbano, do dzwonu gromada bieży...

Miasto szaleje szczęściem bezmiernem. Przybiegł do kościoła ksiądz pleban. Najświętszy Sakrament wystawił, tysiące ludzi w kościele krzyżem leży; za szczupłe mury świątyni, tysiące ludzi wieńcem kościół otoczyło, zahuczały kotły, zagrały organy, niezmierny głos do nieba leci:

Te Deum laudamus, ...
Te Dominum confitemur,
Te eternum patrem omnis terra
veneratur.

Chory człowiek podniósł się na łożu. Ogromna harmonia płynie cicho zrazu; wtem rozdarł powietrze huk armaty, na ten znak wszystkie działa miejskie grają, wszystkie moździerze cechowe biją, wszystko, co żyje i czuje, woła do Boga:

Te Deum laudamus...

Słucha mistrz...

Ozwał się dzwon... Nie żałobą, ale szczęściem niezmiernem ten dzwon płacze. Tryumfem gra spiż, tryumfem dzwonią rycerskie pierścienie i radzieckie złote łańcuchy. Zdaje się mistrzowi, że wydelikacone jego ucho słyszy śpiew srebrnego talara, który do kotła wrzuciła sierota...

Wpadł czeladnik z czerwoną twarzą, z rozwichrzonym włosem, piersiami jak miechami robi...

— Co się to dzieje?

— Jan III. Wiedeń oswobodził.

Z oczu chorego runęły łzy... Opadł na posłanie i umarł.

* * *

Dzw r Jan zaprowadził Marcina Zwilkłego do grobu.

Ludwik Stasiak.



Leśniczówka.

Wspomnienie w 45-tą rocznicę powstania styczniowego 1863 r.

Wśród wzgórz w uroczej kotlinie,
Gdzie złota Lipa ku Dniestrowi płynie.
Tam nad brzegiem chatka ojców stała,
Tam mi matula święty hymn śpiewała,
Tam moja wioska, rodzinna Markowa,
Co dzielnych synów dla Ojczyzny chowa!
W pośrodku wioski stała leśniczówka
I zdala widniała biała jej dachówka...
Był to sobie ładny z gankiem schludny domek,
Mieszkał w nim pan Adam, szlachecki potomek.
Był on człek rozumny, wśród włościan lubiany,
W całej okolicy był im wszystkim znany,
Miał kilku synów i dorosłe córki,
U nich urządzano zimowe wieczorki...
Na które młódź wiejska chętnie uczęszczała,
Bo na tych wieczorkach wiele korzystała...
Pan Adam zajmował miejsce uroczyste,
Opowiadał młodzi w głos dzieje ojczyste,
O dzielnych królach, o zamożnych dworach,
A kończył na niecnych zaborach!...
Wszyscy go z uwagą największą słuchali,
Potem w całej wiosce innym powtarzali...
Gdy tak jak zwykle każdego wieczoru
Siedzimy, wpada posłaniec z sąsiedniego dworu,
Krótka treść listu, tak kończy pisanie:
„Przedwczoraj w Warszawie wybuchło powstanie,
Że w całym kraju lotem błyskawicy
Spieszą tam tłumnie młodzi, starzy ochotnicy.“
Pan Adam uścisnął nam serdecznie dłonie,
Zawołał z zapałem: „Hej chłopcy do broni!
Ja już za stary, zsiwiała mi głowa,
Kto kocha Ojczyznę, spiesz do Olejowa,
Tam się młódź z kraju całego gromadzi.
W pośród rodości, hałasu i krzyków
Było nas gotowych zwyż dwudziestu ochotników.
Jan Niżałowski, choć człowiek żonaty,
Lecz w sile wieku, chociaż szpakowaty,
Krzyknął: „Za mną wiara! wprost do Olejowa,
Ja znam dobrze drogę i mojać w tem głowa,
Niech się raz skończy Moskwy panowanie.“
— „Niech żyje Polska! prowadź panie Janie!“
Ja byłem najmłodszy (czternaście lat miałem)
Co tchu do rodzica z prośbą poleciałem,
Żeby mi pozwolił pójść i bić Moskala,
Co świętą wiarę i Ojczyznę kala!...
Rodzic mą prośbę wziął pod swe rozmysły,
I z ócz jak perły rzęsiste łzy trysły,
„Tyś dziecko jeszcze, za słabyś do boju!
Tam trzeba rąk dzielnych do bitwy i znoju,
Przyjdzie czas na to, rośnij me pacholę,
Zostaw dzielniejszym do działania pole!“
Choć zawsze rodzica rad słuchać nawykłem,
Wśród śnieżnej nocy, z zagrody uciekłem...
Przed świtem jeszcze, chociaż śnieżyk prószył,
Do Olejowa nasz orszak wyruszył!...

. . . .

O! szumiące bory! Olejowskie lasy!
Kiedyż nam powrócą te nadziejne czasy?

. . . .

Bój się rozpoczął pod Radziwiłłowem,
Młódź nasza stanęła w szyszaku bojowym,
Stokroć silniejsza dzicz wypadła z ukrycia,
Tysiące młodzieży pozbawiła życia!...
Strumienie krwi naszej serdecznej pociekło,
Aż na ten widok wzdrygnęło się piekło!...
Trup koło trupa! jak polne makówki
Po burzy, zawiei stulają swe główki.
Padł Antoś, Michaś i Stefcio Kostecki.
Padł Bzowy i Korsan i Franio Strzemecki,
Stary Jan cięty po twarzy pałaszem,
Cięcie to było ocaleniem naszem!...
Kołomyja n. Prutem, w styczniu 1908.

Szymon Chełpiński.



Z legend ludowych o Matce Boskiej.

(Patrz: illustracyą albumową).

Boga-Rodzica maluczkich Patronka, wzięła do nieba świadka swojej troski.

U stóp Jej tronu miejsce dla skowronka i jest śpiewakiem odtąd Matki Boskiej.

Ona swojego wiernego pieśniarza trzyma w opiece i łaską obdarza, a kto ptaszynie Jej krzywdę wyrządzi, tego Bóg karze i surowo sądzi.

Sama Przeczysta jego gniazda strzeże, i od napaści własną chroni dłonią, pod swój błękitny płaszcz skowronka bierze, pod płaszcz gwiazdka mi świecący jasnemi i gniazdo jego nakrywa przy ziemi — a wroga, co jej ptaszynę zaczepia, razi światłością i blaskiem oślepia.

Przy tronie Panny co wieczór i rano na „Anioł Pański“ ptaszę pieśni śpiewa, a chociaż dzwony ziemskie bić przestaną, on w swoją piosnkę całą duszę wlewa i w tym śpiewaczym tak tonie zachwycie, jak gdyby pieśnią tylko było życie.

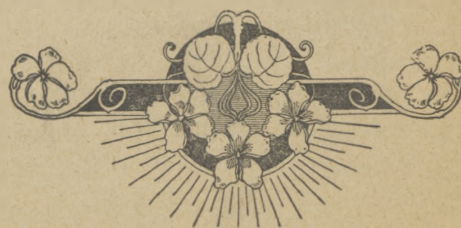
A Matka Boska z zadumą na twarzy słucha śpiewaka swojego i marzy...

* * *

Śpiewaj ptaszyno, śpiewaj Jej o ziemi, którą do pracy budzisz tony swemi, i o oraczach, co w tę rolę czarną, w znoju i trudzie zasiewają ziarno, serdecznym głosem nucąc pieśń poranną:

— Błogosławionaś Maryjo Panno!

Maryan Gawalewicz.





NA DAWNĄ NUTĘ.

„Gdyby” w małżeństwie.

Małżonkowie mogliby być o wiele szczęśliwsi, niż są w rzeczywistości:

Gdyby się chcieli nauczyć przystosowywać swe wydatki do dochodów, gdyby nie żyli nad stan.

Gdyby nigdy nie opowiadali dobrym przyjaciołom o swoich strapieniach domowych!

Gdyby się starali wzajemnie być tak przyjemnymi, jak w dniach ich pierwszej miłości.

Gdyby każda z osób starała się drugą wspierać i pocieszać!

Gdyby każda z osób uważała na to, że druga jest człowiekiem, a nie aniołem!

Gdyby każda z osób starała się więcej czynić, a mniej trochę żądać!

Gdyby mieli mniej jedwabnych i aksamitnych ubiorów do wychodzenia, a więcej pojedyńczych i czystych ubiorów domowych!

Gdyby uważali w domu więcej na przyzwoite obyczaje, a mniej popisywali się przed publicznością tkliwemi słowami!

Gdyby oboje raczej w domu urządzali zabawy, a mniej ich szukali poza domem!

Gdyby oboje mieli na uwadze to, że powinni dla skutecznego wychowania dzieci być dla nich ojcem i matką w prawdziwem znaczeniu!

Szczęście do tańca.

Dziewice nasze cnotliwe, a tem samem wierzące światu i jednem słowem poczciwie naiwne, nie przestają identyfikować „szczęścia w tańcu“ ze „szczęściem do panów“. Znam córki zacnych i poważanych rodzin, które z największą radością powracają z zabawy w stroju pomiętym, z listwami u sukni poobrywanemi, a przytem oblane rzęsiście potem.

Matki z lubością wpatrują się w zmęczone oblicza córek i głoszą rozczulone:

— Ziuta była literalnie rozrywaną. Miała na balu wczorajszym ogromne powodzenie.

— Cóż ztąd?

Dama ociera łzy radości.

— Jakto? Pan nie rozumiesz? Panna rozrywana w tańcu rychło znajdzie męża.

Podążyłem na wywiady do panów, którzy z Ziutą przez całą noc tańczyli, którzy zniszczyli jej nową suknię, zdeptali jej tren i omal nie wpędzili „panny mającej szczęście“ w zapalenie opłucnej.

Pierwszym, którego odwiedziłem, był inżynier z pierścionkiem zaręczynowym na serdecznym palcu.

— Jesteś pan z „Pracy“?

— Jestem nim.

— Bardzo pięknie. Otóż widzisz szanowny pan, położenie jest tego rodzaju. Pracuję przeważnie nad rysowaniem planów i wiodę tryb życia sedentarny. Lekarze zalecili mi trochę ruchu, a ponieważ moja narzeczona, odziedziczyła po ś. p. ciotce 45,000 mk. i obchodzi żałobę...

— Z tego powodu niszczysz pan toalety i wybijasz z sił rozmaite niewinne Ziuty? A więc odbywasz pan kuracyę kosztem nakładów poczynionych przez rodziców obcej mu panny, a więc zużytkowujesz jej siły i zdrowie na swoje cele prywatne? To podłe mój panie!

Odszedłem drżący z gniewu i pobiegłem do koncypienta adwokackiego pana Czesława, który jak to sprawdziłem, po inżynierze najbardziej znęcał

się na balu wczorajszym nad moją protegowaną.

— Pan jesteś koncypientem adwokackim?

— Ja jestem.

— Pan większą część nocy obracałeś w tańcu pannę Ziutę?

— Nie cofam tego.

— A więc kochasz ją pan?

— Co panu w głowie świta? Panna Ziuta nie ma posagu...

— Więc czemuż ustawicznie wybierałeś ją pan do tańca?

Młody koncypient wziął z biurka egzemplarz „Kodeksu karnego“ i otworzył go zuchwale, tuż przed moim nosem:

— Szukaj pan — rzekł — a jeżeli znajdziesz paragraf, który zabraniałby czegoś podobnego, zaskarż mnie do sądu, lub nie; skarż pan odrazu, to mi zrobi reklamę.

Starałem się ułagodzić go.

— Idzie mi wyłącznie o otrzymanie odpowiedzi czemu zatańcowywałeś pan wyłącznie pannę Ziutę? Było zresztą tyle innych panien?

— Powiem panu szczerze. Panna Ziuta ma cienkie ręce, ja cierpię na kurcz pisarski i dogodniej mi obejmować jej ręce niż inne. Jestem wybrednym w wyborze rączek i ołówków.

Następnie odwiedziłem jeszcze młodego lekarza, początkującego przemysłowca i pewnego już dość głośnego artystę.

Wszyscy zapewnili mnie pod uroczystą przysięgą, że panna Ziuta posiada wybitne zdolności choreograficzne, że jest miłą i przystojną, lecz, że żadnemu z nich nawet przez myśl nie przyszło, aby szczęście w tańcu, mogło mieć jakikolwiek związek ze szczęściem do stanu małżeńskiego.

Pewien młody myśliciel, którego interwiewowałem w końcu rzekł mi na pożegnanie:

— Napisz pan w „Pracy,“ że karnawał, mojem zdaniem, nie powinien zasmucać panien na wydaniu. Niechaj nie kłopocą się i nie martwią, gdyby której przypięto klocek popielcowy. Statystyce związków ślubnych stać się musi zadość i to bezwarunkowo. Niechaj przeto nie nadużywają sił w tańcu i niech nie wierzą w swe „szczęście w tańcu.“ Znam wypadki zakończonych ślubami znajomości, które zawierano na stypach pogrzebowych. Niechaj rodzice owych panien Ziut nie wytężają swojej pieczołowitości, wyłącznie w kierunku oprowadzania córek po balach. Po co mają korzystać z tych zabiegów rozmaici egoiści balowi?

Baczność!

W następnym numerze, pierwszym na luty, rozpoczniemy druk niezmiernie interesującej i nadzwyczaj sensacyjnej powieści p. t.

„Tajemnica lekarza“.

Tak bardzo ciekawej i tak bardzo zajmującej powieści „Praca“ nie drukowała już dawno.

Kto więc nie zaabonował dotychczas „Pracy“, może ją teraz zapisać na poczcie na dwa miesiące **luty i marzec.**

Przedpłata na luty i marzec wynosi tylko 1 markę.

PRACĘ

zapisywać można na luty i marzec na wszystkich urzędach pocztowych na prowincyi a w Poznaniu w administracyi i ekspedycyi naszej przy ulicy Rycerskiej nr. 38 w podwórzu I piętro na prawo.

Kwity pocztowe zamieszczone są między ogłoszeniami.

Wiadomości.

* **Odezwa.** Gdy z wszech stron młodzież naszą otacza niebezpieczeństwo przeróżnego charakteru, gdy uprzytomnimy sobie obowiązki młodzieży i nadzieje, pokładane w niej, a gdy w końcu przeciwstawimy ogólne siły moralne i zasoby duchowe naszej młodzieży czy to robotniczej, rzemieślniczej czy też kupieckiej, wtenczas każdy poinformowany przyzna, że *zajęcie się młodzieżą naszą jest konieczne* i nie cierpiące zwłoki. Wszystkie społeczeństwa niemal wyprzedziły nas na tem polu, tworząc i popierając *towarzystwa młodzieży,* jako najskuteczniejsze wywiązanie się z zadań kwestyi młodzieży.

Odczuwając gwałtowną potrzebę istnienia organizacyi odnośnych, udaje się niżej podpisany komitet, wybrany na zjeździe Towarzystw Samopomocy Naukowej w Gnieźnie w dniu 8. 9. 07 z gorącą prośbą do osób powołanych, by poczyniono starania celem założenia jaknajliczniejszych towarzystw młodzieży, w celu krzewienia zasad moralności i szerzenia oświaty wspólnemi siłami. We wszystkiem chętnie służąc radą i czynem uprasza się już istniejące Towarzystwa o łask. podanie adresu w interesie wspólnej akcyi.

Wszelkie korespondencye przesłać prosimy p. a. dr. Szafarkiewicz, Gniezno — ul. Farna.

Komitet:

St. Kuhnert, Gniezno. Cz. Szczepski, Poznań. Antoni Pluta, Inowrocław.

* **Z teatru.** *W sobotę,* dnia 25-go stycznia, ujrzymy na naszej scenie arcydzieło modernistycznej literatury p. t.: *„Franek Cygan“,* tragiczna komedya w 5-ciu aktach przez I. Grabowskiego, efektowny, oryginalny utwór sceniczny pełen poezyi, odznaczający się niezwykłą treścią i prawdą życiową. Sztukę tę grywano z nadzwyczajnem powodzeniem w Warszawie, Krakowie i Lwowie. — Jesteśmy pewni, że i u nas podobać się będzie publiczności i zyska przychylną ocenę znawców teatralnych. (*Ceny zwyczajne*).

W niedzielę, dnia 26-go stycznia po południu o godz. 3-ciej: *„Wojna domowa,“* komedya w 3-ch aktach Zygmunta Przybylskiego. (*Ceny do połowy zniżone*).

W niedzielę, dnia 26-go stycznia wieczorem: *„Franek Cygan,“* tragiczna komedya w 5-ciu aktach I Grabowskiego. (*Ceny zwyczajne*).

* **Zeszłoniedzielny** *występ „Lutni,“* przedstawiającej po raz trzeci „Jasełka,“ ściągnął na salę teatru „Apollo“ dużo publiczności, do czego przyczyniły się przystępne ceny miejsc. Śpiewy chórowe i solowe przyjmowała publiczność z wielkim zadowoleniem, jako utwór swojski, ludowy. Burzę oklasków wywołały tańce, a zwłaszcza taniec góralski. Orkiestra wywiązała się dobrze ze swego zadania.

* **Dla** *rodaka-banity* z Kongresówki nadesłały: pani G. Dominirska z Prus Zachodnich 4 mrk. 5 fen.; pani M. Czarnecka z Dobrzycy 5 mrk., razem 9 mrk. 5 fen.

Kwotę tę doręczyliśmy komu należy.

* **Dla** *weterana* z roku 1863-go Onufrego B. z Poznania nadesłał jeszcze prócz wyszczególnionych w nr. 2-im 9 mrk. p. Wojciechowski z Górek Dąbskich w powiecie szubińskim 1 markę.

Kwotę tę doręczyliśmy komu należy.

* **Weteran** z roku 1863-go, rolnik z zawodu, zdrów i zdolny do pracy, polecony przez wpływowe osobistości, obeznany najdokładniej z interesem zbożowym tak zakupna jak też sprzedaży, prosi na tej drodze o łaskawe wskazanie mu jakiejbądź posady; wymagania skromne. Osoba pod każdym względem polecenia godna. Bliższa informacyą służymy najchętniej.

* **W mieście** powiatowem w Prusach Zachodnich przy rynku jest na własność do nabycia *cukiernia z całkowitym konsensem.* Urządzenia są zupełnie nowe i kompletne. Wpłata podług ugody — również termin objęcia. Porządny cukiernik-Polak mógłby liczyć na dostatnią klientelę. Pośpiech konieczny, bo domostwo w ręku spadkobierców, a obecny dzierżawca ustępuje. Reflektantom chętnie udzielimy bliższej informacyi.

* **Koźmin.** W niedzielę, dnia 12-go b. m. urządziło tutejsze Towarzystwo Czeladzi Katolickiej na sali pana Karasiewicza wieczornicę, połączoną z teatrem amatorskim. Odegrano sztukę ludową I. K. Galasiewicza p. t.

„Czartowska ława.“ Wszyscy amatorzy i amatorki — zwłaszcza Marek Luboń, Szymon Rataniec, Melchior Warchoł i wójt Okrąglak — wywiązali się dobrze ze swego zadania ku ogólnemu zadowoleniu publiczności. Całość wypadła znakomicie.

Dzięki wam, którzy po pracy i walce o byt rozpowszechniacie sztukę rodzimą!

Wielebnemu księdzu Sroce, który się najwięcej przyczynił do udatnego przedstawienia, składam na tem miejscu serdeczne „Bóg zapłać“ za jego trud i mozół.

Mam nadzieję, że szanowne Towarzystwo jeszcze raz „Czartowską ławę“ powtórzy, by Koźminiakom jeszcze raz dać sposobność poznania powyższej pięknej sztuki ludowej.

Jeden z widzów.

* **Brodnica.** Prusy Zach. W niedzielę, dnia 12-go b. m. odbył się teatr amatorski tutejszego Koła Śpiewackiego; odegrano następujące sztuki: „Kominarz i młynarz“ i „Bogata wdowa.“ Amatorzy i amatorki wywiązali się dobrze ze swego zadania, o czem świadczyły liczne oklaski. Po przedstawieniu odbyła się zabawa z tańcami, która trwała prawie do samego rana. Cześć Pieśni!

Uczestnik zabawy.

* **Kilonia.** Na świeżo odbytem zebraniu Towarzystwa św. Józefa wybraliśmy nowy Zarząd. Celem Towarzystwa jest opieka nad wychodźcami na obczyźnie, to też wychodźcy nasi winni się do Towarzystwa wzmiankowanego zapisywać, które ich bronić będzie przed germanizacyą, protestantyzmem i socyalistami. Posiedzenia odbywają się dwa razy w miesiącu i to co drugą niedzielę po pierwszym i co pierwszą niedzielę po piętnastym w „Domu Katolickim“ — „Kathol. Vereinshaus“ Mullinstrasse nr. 72.

Zarząd.

Od Redakcyi: Dla braku miejsca skróciliśmy korespondencyą. Nowemu Zarządowi „Szczęść Boże!“

* **Ważne** *dla banków, kupców, przemysłowców i posiedzicieli ziemskich.* Zwracamy uwagę na ogłoszenie znanego zakładu introligatorskiego p. *K. Kmiecikowskiego,* który zaopatrzywszy pracownią swoją w najnowsze maszyny, wyrabia obecnie także *księgi handlowe.* Przemysł ten spoczywał dotąd li tylko w rękach obcych, dla tego niewątpliwie każdy Polak z przyjemnością powita nowe to przedsiębiorstwo, zwłaszcza, że od dawna dawał się odczuwać brak właśnie w tym kierunku. Pan K. Kmiecikowski przyobiecuje zadowolić wszelkie żądania swych odbiorców i dostarczy *ksiąg kontowych z napisami polskiemi, stawiając czoło każdej obcej konkurencyi.* Niechże więc panowie kupcy i przemysłowcy zechcą jak najliczniejszemi zleceniami poprzeć usiłowania pana Kmiecikowskiego!

* **Zielona Apteka** (właść. p. T. Wituski) w Poznaniu poleca w dziale ogłoszeń zioła apostolskie jako znakomity środek na rozmaite cierpienia. Prosimy zwrócić uwagę na szczegóły ogłoszenia.

* **Świece gromniczne** poleca na nadchodzące święto Matki Boskiej Gromnicznej firma M. Sobecki przy ul. Szerokiej. Zaszczytnie znane polskie przedsiębiorstwo polecamy naszym czytelnikom.

* **Pensyonat** dla przyjezdnych ma p. Wardęska przy ul. Podgórnej nr. 12. Pensyonat ten możemy polecić przyjezdnym do Poznania tak z powodu dobrego położenia w centrum miasta jako i czystości i cen niewygórowanych.

* **Pan W. Brzeski** przy ul. Wiedeńskiej nr. 7 poleca się w dziale ogłoszeń do dostawy *wszelkiego materyału opałowego.* Przedsiębiorstwo to rodzime polecamy pamięci rodaków.

Nekrologia

Sp. ks. Jan Nep. Pągowski w 76 r. życia a 49 kapłaństwa w Wyszanowie; *ś. p. Ludwik Czapla,* znany w szerokich kołach wybitny członek ruchu ludowego w Inowrocławiu w wieku 64 lat; — *ś. p. Andrzej Krüger,* sekretarz i tłomacz sądowy, w Poznaniu; *ś. p. Konstanty Dobiejewski,* były właściciel ziemski, w Poznaniu, przeżywszy lat 88; — *ś. p. Jerzy Ossowidzki* w Bałzinoście; zwłoki złożono w grobie familijnym w Witkowie; — *ś. p. Nepomucena z Kulczewiczów Janowa Morkowska* w Buku; — *ś. p. Władysława Raczyńska* w Warszawie; — *ś. p. Julian Brodnicki* w Wrocławiu; zwłoki złożono w grobie familijnym w Popowie Kościelnem; — *ś. p. Stanisław Sobecki* w Poznaniu; — *ś. p. Zosia Łysińska* w Jutrosinie w 10 wiośnie życia; — *ś. p. Stefania z Jaraczewskich Sypniewska;* — *ś. p. Katarzyna z Wolniewiczów Bączyk* w Poznaniu, przeżywszy lat 69. R. i. p.

Wiadomości literackie.

* **Chleb św. Antoniego.** Szanownym Czytelnikom naszym zwracamy uwagę na czasopismo religijne „Chleb św. Antoniego,“ które wychodząc w zeszytach miesięcznych od lat 13, przyczyniło się głównie do rozszerzenia w okolicach naszych czci św. Antoniego Padewskiego i do powstania wielkiego dzieła miłosierdzia chrześciańskiego, które pod nazwą *Chleb św. Antoniego* zaprowadzone dziś już nieomal we wszystkich parafiach naszych dyecezyi dostarcza środków do wspierania ubogich. Oprócz czci św. Antoniego usiłuje czasopismo to szerzyć także nabożeństwo do Dzieciątka Jezus, do Przenajświętszego Sakramentu, do Matki Boskiej i miłość do dusz w czyśću cierpiących, pracuje więc i w tych kierunkach około krzewienia chwały Bożej.

Każdy zeszyt pisma „Chleb św. Antoniego“ obejmuje 64 strony druku, a że redagowane jest bardzo starannie, przeto z powodu obfitości dobrowej treści swej jest najtańszem u nas pismem religijnem.

Abonament pisma tego wynosi z przesyłką na rok 2 marki; kto je odbiera osobiście, płaci tylko 10 fenygów za zeszyt. *Z początkiem bieżącego roku przeszło czasopismo „Chleb św. Antoniego“ na własność Sióstr Miłosierdzia klasztoru św. Józefa w Poznaniu, a czysty dochód z wydawnictwa tego służyć ma do wspierania ubogich.* Ponieważ pisma tego na poczcie abonować nie można, przeto należy przedpłatę przesyłać do tegoż klasztoru pod adresem: *Wielmożna Irena Łuszczewska, Posen, Petristrasse nr. 7;* żadnych innych tytułów dodawać nie potrzeba, gdyż to opóźnia odebranie przesyłki. Osobiście odbierać można miesięczne zeszyty pisma tego w tymże samym klasztorze. Ponieważ pismo „Chleb św. Antoniego“ zasługuje ze wszech miar na poparcie, przeto upraszamy Szanownych Czytelników naszych, aby przez zaabonowanie takowego do rozszerzenia jego przyczyniać się chcieli.

Redakcya „Chleba św. Antoniego.“

* **Miesięcznik** *dla popierania ruchu wstrzemięźliwości.* Treść numeru 50: Młodzież polska wobec ruchu etycznego. — Wpływ alkoholizmu na wzrastanie nieuczciwości. — Monopol rosyjski i kuratorya trzeźwości. — Jak naród polski walczył z alkoholizmem dawniej i jak powinien dzisiaj walczyć? — Do polskiej organizacyi abstynenckiej młodzieży: Kół Elt, Związku Nadziei i t. d. — Zdania i myśli znakomitych mężów o alkoholiźmie. — Wiadomości ze świata. — Ziemie polskie. — Rozmaitości. — Z ruchu wstrzemięźliwości. — Z piśmiennictwa.

Od Redakcyi.

— *Ml. O. I. 100.* — W Poznaniu w księgarniach: A. Cybulskiego, B. Chrzanowskiego, św. Wojciecha, I. Leitgebra i Sp., we Wrześni w księgarni Prądzyńskiego, w Gnieźnie w księgarni Wiśniewskiego, w Inowrocławiu w księgarni Knasta.

— *Panu Józefowi K. w Z. pod Czempiniem.* — 1) Życzone zeszyty „Pracy“ wyczerpane zupełnie, 2) Wiersz „Marya“ już był drukowany w dawniejszych rocznikach „Pracy“, 3) Jesteśmy zaopatrzeni w łamigłówki, zagadki itd. Pańskie, więc prosimy na razie dalszych nie nadsyłać, 4) Rozwiązanie łamigłówki: „Kościuszko“ z zeszytu 48 „Pracy“ r. z. spóźnione.

Zarządowi „Lutni“ w miejscu. Notatkę, dotyczącą przedstawienia zeszłoniedzielnego „Jasełek“ otrzymaliśmy już po wydrukowaniu tej części zeszytu 3-go, w której się znajdują wiadomości, a zatem nie mogliśmy zamieścić.

To samo dotyczy także notatki o przedstawieniu amatorskiem na sali

ogrodowej teatru Apollo, które się odbyło dnia 21-go b. m.

Wszelkie niecierpiące zwłoki notatki, mające być zamieszczone w najbliższym numerze, musimy otrzymać najpóźniej w każdy wtorek przed południem, później nadesłane nie mogą liczyć na uwzględnienie.

— *Panu S. B. w Wąbrzeźnie, Prusy Zach.* — W artykułach naszych omawiamy niemal w każdym zeszycie sprawy przez Szan. Pana poruszone. Dziękujemy za łaskawą pamięć i zasyłamy serdeczne pozdrowienie.

— *Panu Leonardowi S. w K.* — Zamieszczamy w niniejszym numerze w skróceniu.

— *Panu Alojzemu S. w Olsztynie.* — Dziękujemy za słowa uznania dla „Pracy“ i za serdeczne życzenia; łamigłówkę zamieścimy.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 26-go stycznia 1517 bitwa z Tatarami pod Kaniowem. — 1567 pobicie Moskwy na polach czaśnickich. — 1699 pokój karłowicki z Turkami.

Dnia 27-go stycznia 1510 pożar salin w Wieliczce. — 1736 Leszczyński zrzeka się praw do tronu polskiego. — 1792 sejm w Warszawie gromi nadużycia magnatów. — 1832 wymordowanie w Fischau bezbronnych Polaków.

Dnia 28-go stycznia 1568 wzięcie i spalenie Wielisza. — 1573 konfederacya w Warszawie po śmierci Zygmunta Augusta. — 1831 utworzenie w Paryżu komitetu dla sprawy polskiej.

Dnia 29-go stycznia 1479 śmierć Grzegorza z Sanoka, arcybiskupa lwowskiego. — 1583 uniwersał Stefana Batorego, urządzający poczty.

Dnia 30-go stycznia 1363 zjazd monarchów w Krakowie. — 1658 pobicie Tatarów u Sinych wód. — 1667 traktat andruszowski z Moskwą. — 1706 śmierć Maryi Kazimiry.

Dnia 31-go stycznia 1610 poselstwo moskiewskie pod Smoleńskiem wzywa na tron królewicza Władysława. — 1617 wyprawa Władysława na odzyskanie tronu moskiewskiego. — 1667 śmierć hetmana Jerzego Lubomirskiego. — 1676 sprawadzenie zwłok Jana Kazimierza do Krakowa.

Dnia 1-go lutego 1411 pokój z Krzyżakami w Toruniu. — 1676 pogrzeb Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego; — 1733 śmierć Augusta II.; — 1717 sejm niemy kończy konfederacyą tarnogrodzką.



Humor i satyra.

Maryś i organista.

Ślub Marysi miał się odbyć na drugi dzień, więc Maryś idzie do organisty i powiada mu:

— Panie organisto, gdy z wianeczkiem panieńskim pójdę do ołtarza, zagrajcie mi pięknie na organach.

Na to rzekł organista!

— Dobrze moje dziecko, ale nosisz że ty ten wianeczek panieński słusznie? Bo widzisz, jeżeli tak nie jest, to moje organy nie zechcą grać takiej dziewczynie, tylko zaskrzypią brzydko — a ludzie zaraz się dowiedzą, dlaczego...

Marysia pomyślała chwilkę i mówi:

— To już nie grajcie, panie organisto, bo możeby trochę.... skrzypiały....

* * *

Słowo — to wiatr.

„Słowo to wiatr“ — mówi stare przysłowie. — Oj gdyby to była prawda — powiadał pewien gospodarz, który miał bardzo gadatliwą żonę — to by moja kobieta obracała wszystkie wiatraki na świecie.

* * *

Mądry Wojtek.

— Wojtek dasz ty nareszcie na zapowiedź czy nie?

— Dam.

— A kiedy?

— Jak mi twój tatulo obiecają łysą krowę z cielęciem — to dam, a jak będą dawali graniastą, to pójdę do Maryny.

Sprostowanie omyłki druku.

Pewnego dnia można było wyczytać w jednym z dzienników następującą zagadkową notatkę dziennikarską:

„Ubiegłej nocy ukradziono naszego burmistrza, szkoda niewielka...“

Nazajutrz czytano:

„Sprostowanie omyłki druku: W numerze wczorajszym naszego pisma na str. 3 w. 15 ma być nie, jak mylnie wydrukowano; „ubiegłej nocy ukradziono naszego burmistrza,“ ale „ubiegłej nocy skradziono naszego burmistrza — szkoda niewielka“ — co niniejszem prostujemy.

Trzeciego dnia czytano:

„Sprostowanie omyłki druku. Zdarzyła się znowu przykra omyłka. Zdanie to ma opiewać:

„Ubiegłej nocy okradziono naszego burmistrza — szkoda niewielka.“

* * *

Prawda.

W świecie żyją różne stany,
Bardzo biedni — wielkie pany...
Bardzo głupi i rozumni.
Bez ambicyi — bardzo dumni,
Lecz się wszyscy w tem jednoczą,
Że o grosz... do oczu skoczą...



Wieś polska w Poznańskiem w przyszłości.
(Według rysunku jednego z czytelników „Pracy“).

Trwoga przed życiem

czyli

Bohaterska Matka.

Powieść z francuskiego, uwieńczona nagrodą przez akademią francuską, tłomaczyła *P. O.*

6 (Ciąg dalszy.)

Pani Dulaurens wybierając dla córki tego, którego byłaby wybrała dla siebie, nie wątpiła ani na chwilę o swej mądrości i o swem poświęceniu.

Tymczasem Izabela Orlandi zatrzymała Jana idącego do pana Dulaurens i szepnęła mu cicho:

— Jak ci się podoba?

— Kto?

— Pan Landeau!

— Ani dobrze, ani źle.

— On mówi mało, ale mówi wszystko to, co myśli.

I rozśmiała się, odsłaniając ząbki białe i lśniące, ale Jan poznał, że to był śmiech nieszczery i wymuszony. Mimowoli porównał go z śpiewem, jaki się słyszy często latem w nocy, na wsi, który oznajmia spóźnionego wędrowca, przestraszonego ciszą i samotnością.

Nieruchomy i milczący, pochłaniał pan Landeau wzrokiem swoją piękną narzeczoną. Kochał on ją ową namiętną miłością, jaką uczuwają mężczyźni na schyłku młodości, tem silniejszą, im mniej dotąd kochali. Pan Landeau był człowiekiem dojrzałym, którego silna i krępa postać nie miała cienia wytworności. Nie mając żadnych manier salonowych, tracił łatwo przytomność umysłu w obec ludzi wykwintnych, posiadających tę łatwość w obejściu, jaką stanowi potęga towarzystwa, będąca często jedyną jego zaletą. Elegancya i pewność siebie dwudziestopięcioletniego Jana Berlier uwydatniały jeszcze więcej jego wiek i ociężałość. Patrzał z daleka na Izabelę, olśniewająco piękną w swej białej sukni, i ubóstwiał ją jak boginię, do której zbliżyć się nie śmiał. A okrutna dziewczyna zdawała się zapominać zupełnie w obecności tego niewolnika, właściciela milionerów!

Pomiędzy gęstemi koronami dębów przeciskały się promienie słońca i padały ukośnie na leśną ścieżkę, pokrytą zwiędłem, zeszłorocznem liściem. Obie młode dziewczyny szły wolno, przytulone do siebie i miały twarze to opromienione światłem, to ocienione gałęziami drzew. Stare dęby o wyniosłych pniach, stały jak straż przy drodze i zdawały się opiekować temi pięknemi istotami, które szukały tu spokoju i — sposobności wypowiedzenia tego, co serca im przepełniało. Jasnowłosa Alicya miała suknią różową, czarna suknia Pauli i czarne jej włosy uwydatniały więcej jeszcze bladość jej twarzy. Uosobienia wdzięku i melancholii, rozmawiały z sobą, nie licząc się z słowami, tak jak się to zwykle dzieje w latach młodości jasnej i szczęśliwej. Gra światła bawiła je, i w tej uroczej ciszy leśnej odnalazły dawniejszą przyjaźń z klasztoru. Raz po raz stawały i uśmiechały się do siebie, obie głęboko były wzruszone, lecz udawały, że tego nie widzą.

Każda z nich miała w sercu bardzo ważną tajemnicę. Alicya, która od dzisiejszej rannej sceny z matką uważała się za bardzo odważną, pragnęła gorąco zasłużyć na szacunek przyjaciółki i postanowiła szczerem wyznaniem swych uczuć zdobyć sobie prawo do jej współczucia i pocieszania. Paula była dla tego wzruszoną, że myślała o bracie, o którego miłości miała teraz mówić.......

— Pamiętasz, — zaczęła Alicya, — o czem tak często rozmawiałyśmy w klasztorze Sercanek?

— Nie!

— Raz mówiłyśmy o małżeństwie. Rajmunda Ortaire z pierwszej klasy, zawsze o tem zaczynała, twierdząc, że wyszłaby za mąż tylko za bogatego arystokratę. I my wszystkie musiałyśmy powiedzieć, jaki mężczyzna jest naszym ideałem. Ja tego nie wiedziałam. A ty, ach, widzę cię jeszcze, z twemi wielkiemi czarnemi oczami, wyrażającemi pogardę dla nas, rzekłaś: „iść za mąż, znaczy kochać, więcej nic. Rajmunda śmiała się, lecz my miałyśmy ochotę wybić ją za to.

— Pani także? — rozśmiała się Paula nieco ironicznie.

— Ja także, naturalnie! Czy to panią dziwi? Gdybyś nie była słyszała dziś rano, nie dziwiłabyś się wcale!

Lekki rumieniec pokrył przy tych słowach bladą twarz Alicyi i ożywił ją niezmiernie. Dziś zdawała się wogóle być silniejszą, szła prędzej niż zwykle i poruszała się żwawo. Paula patrzała na nią zdumiona. Zarzucała jej wprawdzie zbyteczną miękkość i brak woli, a jednak lubiła jej powolność i ruchy znęczone. Ożywienie Alicyi uważała za dobry znak dla siebie i dla swej sprawy.

— Dziś rano? — spytała.

— Tak, — odrzekła Alicya poważnie. — Wzbraniałam się wyjść za mąż!

Umilkła na chwilę, aby się nacieszyć wrażeniem, jakie słowa te wywrą na Pauli. Każda młoda dziewczyna lubi się pochwalić tem, że odrzuciła konkurenta. Ale zaraz potem zwyciężyła jej wrodzona dobroć i dodała prędko:

— Przyrzeknij mi pani, że nie powiesz o tem nikomu! Ja też nie zdradzę wcale jego nazwiska!

Paula domyśliła się odrazu o kogo chodziło i uśmiechnęła się trochę zaniepokojona. Czekała teraz na dalsze wyjaśnienia Alicyi i drżała już o tego, za którym przemawiać miała. A gdy Alicya milczała, spytała ją wprost:

— Nie byłoby to niedyskrecyą, gdybym zapytała, czemu pani dałaś kosza?

Alicya stanęła. Promień słońca prześlizgnął się właśnie pomiędzy liściami i zatrzymał się na jej złotej główce. Pochyliła nieco swoją wiotką postać i rozśmiała się cicho, dźwięcznie, jak dziecko.

— Iść za mąż, znaczy kochać, więcej nic, — szepnęła.

— A pani nie kochasz?

— Nie!

— Nikogo? — odważyła się spytać Paula.

— Nikogo!

Ale znów rumieniec wystąpił na jej twarzyczkę uśmiechniętą, rozpromienioną. Czy zbyt śmiałe pytanie

Pauli obraziło jej wrażliwość, czy też przeświadczenie, że nie powiedziała prawdy wywołało ten rumieniec?

Paula zbliżyła się do niej i objęła ramieniem drobną, szczupłą postać dziewczęcia. Potem nachyliła się ku niej, i w ciszy leśnej, w cieniu odwiecznych dębów, szepnęła prędko, jak gdyby sama zdziwiona tem, co śmie mówić:

— Czy nie wiesz, że mój brat Marceli kocha ciebie? Całe jego serce należy do ciebie! Chcesz zostać jego żoną, Alicyo? On szczęście swoje tylko w tobie widzi!

Obie przyjaciółki były głęboko wzruszone i stały nieruchome, z spuszczonemi oczami. Patrzały na zwiędłe liście, leżące na ścieżce, lecz nie widziały ich wcale. Potem spojrzały na siebie, i wdzięcznym ruchem padły sobie w objęcia.

Obiedwie płakały.

Paula pierwsza przerwała milczenie. Z nowem zupełnie uczuciem patrzała na tę niezwykłą dziewczynę, która opierała się na jej ramieniu i która, nie mówiąc ani słowa, stała się jej siostrą. Alicya zaś wzruszona rozkosznie, zlękła się potęgi tego uczucia, którego już teraz na zawsze doznawać gorąco pragnęła. Obawiała się podlegać mu zupełnie a jednak podlegała mu całem sercem. To pierwsze spotkanie się z miłością otworzyło najtajniejsze skrytki jej dziecięcej i dotąd uśpionej duszy, jej serce rozwinęło się jak róża, która wczoraj jeszcze zamkniętą była, i która rano roztwiera cały przepych swego kielicha, aby otrzymać krople rosy niebieskiej.

— Kochasz go? — spytała Paula cichutko.

— Tak!

Paula więcej się domyśliła tej odpowiedzi, niż ją usłyszała.

Trzymając się za ręce, szły dalej. Alicya słuchała głosu miłości, odzywającej się głośno w jej sercu, Paula, zapominając o sobie, odczuwała w całej pełni szczęście, które dla niej samej przeznaczonem nie było.

— Teraz jesteś moją siostrą, — rzekła. — Kocham cię bardzo. A Marceli zasługuje doprawdy na szczęście! Jaki on dobry jest dla nas! Nie można tego wcale opowiedzieć. Po śmierci ojca przechodziłyśmy okropne chwile, ale on pomagał nam, chociaż tak daleko był od domu! Pomagał nam, jak mógł!

Alicya słuchała słów Pauli z bardzo podzielonem uczuciem. Ostatnie zdania dały jej poznać całe smutne położenie majątkowe pani Guibert i Pauli, a chociaż nie dbała o pieniądze i nie znała ich wartości, to nie umiała sobie jednak wyobrazić szczęścia i miłości bez silnej, pieniężnej podstawy. Nie znająca życia, pojmowała fałszywie potęgę złota, i przypisywała mu albo za wiele, albo za mało znaczenia.

Ale to było wrażenie przelotne i przemijające, i nie zmniejszyło wcale jej szczęścia. Marceli kochał ją i Paula przemawiała do niej tak serdecznie! I pragnąc okazać się odważną, zaczęła pierwsza o przyszłości.

— Co teraz nastąpi? — spytała śmiało.

— Moja matka przyjdzie do twoich rodziców i poprosi o twoją rękę dla Marcela. Musisz więc uprzedzić rodziców o tem. Twoja matka kocha cię i pragnie z pewnością twego szczęścia, a ojciec zgadza się na wszystko, czego pani Dulaurens zażąda.

Dęby, pod któremi właśnie obie przyjaciółki stały, połączyły teraz korony swoje w silnym splocie i nie przepuściły już ani jednego promienia słonecznego. Alicya stała się nagle poważną — zbudzona z uroczego snu miłości, wróciła do świata rzeczywistego i poznała, że nie zdobędzie tak łatwo wymarzonego szczęścia.

— Czy ja musiałabym opuścić Francyą, — szepnęła, — i pojechać..... z Marcelim..... daleko....

Będąc dzieckiem mówiła sobie z Marcelim po imieniu — teraz, jako narzeczona jego, śmiała ledwie wymówić to imię ukochane, które paliło jej usta.

— Naturalnie! — odrzekła Paula zdumiona. — Będziesz przecież jego żoną!

— Tak, zapewne, naturalnie, ale — czy on pojedzie daleko ztąd......

— Do Algieru!

— Oh, mama nigdy na to nie przystanie!

Piękne oczy dziewczęcia napełniły się łzami — szczęście zaczynało się oddalać....

— Może on z miłości dla ciebie wyrzeknie się Algieru — rzekła Paula. — Ale nie odwódź go od jego karyery, od jego żołnierskiego zawodu. Bo to niebezpieczne, a Marceli ma świetne widoki na przyszłość!

— Ach, Paulo, ty wiesz, że nie jestem bohaterką! Nigdy nie stanę się prawdziwą Guibert! Czy on jednak nie dał już dość dowodów odwagi i męstwa?

Paula roześmiała się mimowoli.

— Tego nigdy dosyć być nie może. My zaś, które z życiem zewnętrznem żadnej nie mamy styczności, my właśnie powinniśmy dodawać odwagi naszym braciom, mężom i synom i wspierać ich dowodami głębokiej miłości. Pokażmy nasz stosunek tym, którzy się odznaczają męstwem i którzy są pożytecznymi całemu społeczeństwu.

— Nigdy o tem nie myślałam! — wyznała Alicya otwarcie.

— A jednak kochasz Marcela!

— Kochałabym go, chociaż by nie był tak dzielnym i odważnym żołnierzem!

— Ach — szepnęła Paula cicho, jak gdyby mówiła sama do siebie — ja nie starałabym się nigdy zacieśniać życia memu mężowi!

Alicya nie zważała na nią — myśli jej były czemś innem zajęte.

Jeżeli Marceli mnie kocha, to zostanie tutaj i zamieszka blisko moich rodziców! Bylibyśmy tak szczęśliwi! Mój majątek wystarczy nam zupełnie!

— Tego by on nigdy w życiu nie przyjął — zawołała Paula. I zapominając o swem posłannictwie pokojowem, dodała nieomal z pogardą:

— Więc nie poszłabyś z nim!

Alicya zrozumiała Paulę i zawołała żywo:

— Zapewne! Poszłabym z nim wszędzie, na koniec świata, bo kocham go! Wiesz przecież! Ach, ja! Ale...

— Ale?...

— Moja matka... — szepnęła smutnie.

— Matka kocha cię, i pragnie przedewszystkiem twego szczęścia!

— Tak, pragnie jednak, abym była szczęśliwą blisko niej. I ona chce się cieszyć mojem szczęściem. Czy to nie naturalne?

Paula pomyślała o własnej matce, która zaznała tyle już rozstań i która pomimo to nie usiłowała nigdy odwodzić dzieci od wykonania ich zamiarów. Milczała przecież, tylko czarne jej oczy straciły zwykły blask. Alicya ujęła jej rękę i zaczęła płakać.

— Boję się, Paulo! — szepnęła. — Boję się. Ale kocham cię bardzo!

Paula wiedziała, że słowa te odnoszą się w rzeczywistości do Marcela, i jak starsza siostra starała się uspokoić i pocieszyć swoją przyjaciółkę.

— Nie płacz, Alicyo! — rzekła. — Zresztą — zdaje mi się, że ktoś idzie!

— Czy widać po mnie, że płakałam?

— Nie, nie wiele. Nie trzyj tylko oczu! Miej odwagę, najdroższa, i ufaj nam! Przyrzekasz mi to?

— Tak!

—Siostrzyczko kochana!

Słodkie miano siostry uspokoiło Alicyą. Uśmiechnęła się i uścisnęła rękę Pauli.

Na skręcie ścieżki ukazała się teraz Izabela Orlandi w towarzystwie Jana Bertier. Młoda dziewczyna mówiła i śmiała się z gorączkową niecomal żywością.

— Patrzcie — rzekła, zbliżając się do Alicyi i Pauli, i podniosła lewą rękę. Na czwartym palcu błyszczały kosztowne pierścionki — jeden szmaragdowy, drugi rubinowy.

— Dwa pierścionki zaręczynowe!

— Aż dwa? — zawołała Alicya, śmiejąc się.

— Tak. Pan Landeau jest niezmiernie hojnym. Szkoda, że nie mogę wam pokazać moich klejnotów, a mam ich pełną szkatułkę! Miałam sobie wybrać garnitur, i pozostawiono mi wybór pomiędzy dwoma najdroższymi, że zaś nie mogłam się jakoś zdecydować, przeto mój wspaniałomyślny narzeczony rzekł mi z wytwornym ruchem ręki: „weź obydwa“. Wzięłam więc obydwa, bo chciałam się przypodobać mamie. Patrzcie, jaką mam lornetkę — oprawa cała wysadzana drogiemi kamieniami. Piękna, co?

Ale pani masz doskonały wzrok — zauważył Jan.

— To nic nie szkodzi, lornetka wygląda zawsze dystyngowanie — odpowiedziała Izabela, kłaniając mu się nisko.

Podczas tej na wpół poważnej, na wpół zalotnej sprzeczki, patrzała Paula na zwiędłe liście, leżące u stóp drzew i — milczała. Teraz też zbliżyła się pani Dulaurens, za którą szli Marceli Guibert i pan Landeau.

Zaniepokojona długą nieobecnością córki, wezwała swych gości na przechadzkę do lasu, i odetchnęła swobodniej, gdy nareszcie ujrzała Alicyą. Ale zauważyła natychmiast jej rumieniec i lekkie zmieszanie i domyśliła się wszystkiego.

— Najwyższy czas! — rzekła sobie w duszy. — Naszego bohatera trzeba trzymać zdaleka!

Marceli stojący za nią, patrzał także na Alicyą, lecz patrzał na nią z ową trwożną namiętnością kochającego, który nie wie jeszcze, czy posiada wzajemność. I podziwiał znowu jej delikatną, powiewną postać i białą słodką twarzyczkę z zwykłym wyrazem lekkiego zmęczenia, i do gorącej jego miłości dołączyło się jeszcze pragnienie opiekowania się tą śliczną istotą i wspierania jej własną siłą i wolą..

Z przeciwnej strony nadeszły jeszcze panie Orlandi i Songeon i całe towarzystwo złączyło się razem. Nawet pan Delaurens znalazł się tutaj i wszyscy odprowadzili Paulę i Marcela przez aleją platanów aż do głównej bramy.

Po drugiej stronie drogi, wiodącej do Chaloux, przed skromną wiejską chatą, bawiło się w słońcu kilka dzieci, o rozczochranych włosach, lecz tryskających zdrowiem i wesołością twarzach. Gdy mała ta banda zanadto zaczęła dokazywać, wyszła z chaty matka, prosta wieśniaczka, o twarzy ładnej, lecz przedwcześnie zwiędłej i upominała niesforne dzieciaki łagodnie lecz stanowczo.

— Są to bardzo biedni ludzie — objaśniała pani Delaurens — i wiecznie spodziewają się dzieci. Mają ich już siedmioro, a na ósme długo czekać nie będą!

— Siedmioro dzieci! — zawołała panna Longeon z pogardą i odwróciła się. — Ależ to okropne!

— Jest to po prostu urąganie się Bogu — dodała pani Delaurens.

— A pani Orlandi rozśmiała się i rzekła:

— Dzieci byłyby ładne na obrazku. Żywe, są bardzo nieapetyczne.

— Nie każdy może mieć dzieci — szepnęła wieśniaczka, która słyszała każde słowo, i podnosząc najmniejsze, przycisnęła je z miłością do serca.

Izaebla zaczęła się śmiać i spojrzała wyzywająco na narzeczonego.

— Ja nie chcę mieć dzieci — rzekła. — Słyszysz pan?

Pan Landeau uśmiechnął się, a raczej skrzywił tylko usta. Po tych zbyt śmiałych słowach nastąpiło ogólne milczenie —nikt nie uważał za stósowne odpowiadać na taki naiwny cynizm. Pierwsza pani Orlandi odezwała się po chwili:

— Nie, ta moja Izabela!

Alicya uściskała serdecznie Paulę żegnając się z nią, Marceli zaś wpatrywał się nieustannie w twarz ukochanej. Ach czemuż nie mógł wziąść tą uroczą dziewczynę w swe silne ramiona i unieść ją daleko stąd — do kraju słońca i kwiatów!

Gdy Paula została sama z bratem, pogłaskała jasne główki dzieci, które przeczuwając instynktem wrogie usposobienie świetnego towarzystwa, stały ciche, zalęknione z spuszczonemi oczami.

— Biedne malcy — rzekła, a oczy jej zapłonęły gniewem — obrażono was niesłusznie. Dzisiejsze panie nie lubią was!

Wieśniaczka spojrzała z wdzięcznością na piękną, młodą dziewczynę.

— Rośnie to jak dzikie kwiaty — zawołała. — Ale zdrowe i wesołe! Nasze szczęście!

— Bóg jest dobry, a świat wielkim — zauważył Marceli, zbliżając się. Przypomniała mu się radość, z jaką ojciec jego patrzał na zdrowe i silne dzieci, nazywając je nadzieją przyszłości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



LUDWIK STEVENSON.

Wyspa skarbów.

20 **Przekład z angielskiego.**

(Dokończenie.)

Wreszcie Merry postanowił słowami dodać ducha swoim.

— Bracia — odezwał się — jest ich tylko dwóch: ten stary kuternoga, który nas tu sprowadził i wystrychnął na dudków i ten psiak, co nas zdradził. Naprzód bracia...

Podniósł rękę i głos, chcąc widocznie poprowadzić do ataku. Lecz w tem — pif paf, puf! błysły trzy muszkiety z poza gęstwiny. Merry stoczył się do jamy głową na dół, majtek z głową obandażowaną zakręcił się jak fryga i runął na ziemię — martwy, lecz jeszcze drgający konwulsyjnie . Trzej pozostali zawrócili w miejscu i poczęli uciekać co sił.

W mgnieniu oka Długi John wypalił z pistoletu do usiłującego się wydrapać z dołu Jerzego Merry, a gdy ten zwrócił ku niemu swe błędne oczy w ostatniej agonii — Jerzy — powiedział — no teraz pomiędzy nami kwita.

W tejże chwili z poza drzew ukazali się doktor, Gray i Ben Guun z dymiącemi się jeszcze muszkietami.

— Naprzód, pędem dzieci! — wołał doktor. — Nie trzeba dopuścić ich do szalup.

I pobiegliśmy szybko, nurzając się chwilami po ramiona w gęstej trawie.

Silver spiesznie i trwożnie podążał za nami, gnany strachem, aby nie pozostać w tyle. Podskakiwał na swej kuli, pot lał mu się z czoła, sapał i dyszał ciężko, muskuły piersi natężały się gwałtownie, że omal nie pękły, ale szedł z wytrwałością prawdziwie bezprzykładną. Sam doktor to uznawał. Był już tylko o trzydzieści kroków za nami, dusząc się niemal z braku oddechu, gdyśmy dotarli do szczytu płaskowzórza.

— Doktorze! — zawołał. — Patrz pan, niema co się spieszyć!

Istotnie pospiech był zbyteczny. Z otwartej wyniosłości, na której stanęliśmy, widać było, że trzej ocaleli piraci biegli wciąż w tym samym kierunku dołem wprost ku wzgórzu Bocianiego gniazda. Znajdowaliśmy się już pomiędzy nimi i szalupami. Usiedliśmy zatem na trawie, aby odpocząć, a Długi John, ocierając spoconą twarz, dopędził nas powoli.

— Pokorne dzięki, doktorze — odezwał się. — Przybyłeś pan akurat w samą porę, inaczej kusoby było z nami, nieprawdaż Jim? A! to ty, Ben Guun! — dodał. — No, no, ładnieś się spisał, niema co mówić.

— Tak, ja jestem Ben Guun, ja — odparł marron, zwijając się jak węgorz w swem zakłopotaniu. — A jakże się ma mister Silver — dodał nieśmiało po długiej chwili. — Spodziewam się, że jesteś pan w dobrem zdrowiu.

— Ben, Ben — szepnął Silver — o jakżeś ty mię oszukał!

Doktor posłał Graya po łopatę, którą buntownicy porzucili w ucieczce, a potem, gdyśmy się posuwali powoli ku miejscu, gdzie stały uwiązane łodzie, opowiedział nam w kilku słowach, co zaszło. Opowieść ta wysoce zajęła Silvera, a Ben Guun, pół-idyota marron, był jej bohaterem od początku do końca.

Ben w czasie długiej swojej samotnej włóczęgi po wyspie napotkał szkielet, to on go ograbił. On także znalazł skarb, wykopał go (trzonek jego złamanej łopaty właśnie leżał w zagłębieniu) i przeniósł na własnych ramionach od stóp wielkiej sosny do znanej sobie jaskini u podstawy dwuszczytowego wzgórza, na północno-wschodnim krańcu wyspy. Skarb leżał tam bezpiecznie jeszcze na miesiące przed przybyciem Hispanioli.

Skoro doktor wydobył tę tajemnicę z Ben Guuna owego popołudnia w dniu szturmu, i gdy zobaczył nazajutrz, że okręt zniknął z przystani, poszedł do Silvera. Oddał mu mapę, obecnie już bezużyteczną, oddał mu zapasy, gdyż jaskinia Ben Guuna było obficie zaopatrzoną w solone mięso kozic, oddał mu wszystko, byle tylko módz oddalić się spokojnie z blokhauzu do dwuszczytowego wzgórza, gdzie on i jego towarzysze byli zabezpieczeni od malaryi i mogli strzedz skarbu.

— Co do ciebie, Jim — dodał — serce ściskało mi się boleśnie na myśl o tobie, ale musiałem mieć na względzie przedewszystkiem dobro tych, co pozostali wierni swemu obowiązkowi. A jeżeli ty nie byłeś jednym z nich, czyja wina?

Dziś rano, zobaczywszy mię między zbójcami, przeląkł się, aby ich wściekłość, skoro ujrzą nadzieje swe rozwiane, nie odbiła się także na mnie. Poleciał więc co tchu do jaskini i pozostawiwszy esquire'a przy kapitanie, zabrał Graya i marrona i podążył spiesznie, przecinając na przełaj wyspę, do wielkiej sosny, aby w stanowczej chwili znaleźć się przy mnie. Widząc wszakże, żeśmy go znacznie wyprzedzili, wysłał przodem szybko-nogiego Ben Guuna, aby radził sobie tymczasem, jak umiał. Ben Guun wpadł na myśl powstrzymania piratów, grając na ich przesądach, co mu się też doskonale udało, a doktor i Gray mieli czas zdążyć na stanowisko i ukryć się w gęstwinie przed przybyciem poszukiwaczy skarbu.

— Ach! — odezwał się Silver — wielkie to szczęście dla mnie, że miałem Hawkinsa przy sobie. Inaczej pozwolilbyś pan bez skrupułu rozszarpać biednego Johna w kawałki, doktorze.

— Rozumie się — odparł wesoło doktor.

Tymczasem doszliśmy do szalup. Doktor porąbał jedną łódź oskardem, a potem wszyscy wsiedliśmy do drugiej i popłynęliśmy do północnej zatoki.

Mieliśmy osiem do dziesięciu mil drogi. Silver, choć upadał ze zmęczenia, wziął także wiosło i niebawem mknęliśmy szybko po gładkiem i cichem morzu. Wkrótce wypłynęliśmy z cieśniny i okrążyli południowo-wschodni kraniec wyspy, w około którego holowaliśmy cztery dni temu Hispaniolę.

Mijając dwuszczytowe wzgórze, ujrzeliśmy czerniejący zdala otwór jaskini Ben Guuna i stojącą przy nim jakąś wysoką postać, opartą na muszkiecie. Był to esquire. Zaczęliśmy powiewać chustkami, witając go trzykrotnem, głośnem: hurra! a Silver krzyczał razem z nami z całego gardła.

O trzy mile dalej, u samego wejścia do zatoki Północnej spotkaliśmy Hispaniolę, szybującą najspokojniej po zatoce. Ostatni przypływ podniósł ją i gdyby wiatr lub prąd był trochę silniejszy, jak na przykład w przystani południowej, nigdybyśmy już jej nie ujrzeli, albo też rozbiłaby się o skalisty brzeg. Po bliższem obejrzeniu okazało się, że okręt był nie bardzo uszkodzony, utracił tylko wielki maszt. Dostawszy kotwicę zapasową, zarzuciliśmy ją na półtora sążnia w wodę. Następnie popłynęliśmy z powrotem do zatoki Rumu, znajdującej się w pobliżu skarbca Ben Guuna, Gray, wysadziwszy nas na ląd, powrócił sam jeden na Hispaniolę, gdzie miał przepędzić noc na straży okrętu. Wejście do jaskini było dość spadziste. Na spotkanie nasze wyszedł esquire. Ze mną był serdeczny i uprzejmy, jak zawsze, nie wspominając o mej eskapadzie ani słowem pochwały lub nagany. Na pełen szacunku ukłon Silvera twarz mu zapłonęła gniewnie.

— Johnie Silverze — powiedział — jesteś ostatnim łotrem i oszustem, bezczelnym oszustem, sir. Powiedziano mi, że mam cię teraz zostawić w spokoju. Dobrze więc, niech tak będzie. Ale krew zabitych spadnie na twoją głowę.

— Dziękuję panu jak najpokorniej, sir — odparł niezmieszany Długi John, kłaniając się znowu.

— Śmiesz mi dziękować! — wybuchnął esquire. — Wiedz, że oszczędzając cię, zdradzam moją najświętszą powinność. Zdala odemnie! Idź precz!

Weszliśmy do jaskini. Była ona dość przestronną i przewiewną. Posiadała małe źródełko i sadzawkę czystej wody, owieszoną festonami paproci. Podłoga ubitą była z piasku. Przed dużym ogniem leżał kapitan Smollet, a w głębi, w ciemnym rogu, oświetlanym migotliwie płomieniem ogniska, piętrzyły się stosy monety i wielkie czworoboki, ułożone ze sztab złotych. Był to skarb Flinta, po który przybyliśmy z tak daleka i który kosztował już życie siedemnastu ludzi z załogi Hispanioli. A ileż ofiar kosztowało jego nagromadzenie, ile cierpień i krwi! ile pięknych okrętów poszło na dno, ilu ludzi zawisło na szubieni-

cy! ile padło salw armatnich, ile hańby i kłamstw i okrutnych czynów leżało na drodze, którą go osiągnięto, któż to kiedy zliczy! Żyło jednak jeszcze trzech ludzi na tej wyspie. Silver, stary Morgan i Ben Guun, z których każdy miał swój udział w tych zbrodniach i każdy spodziewał się daremnie uczestniczyć także i w nagrodzie.

— To ty, Jim — rzekł kapitan. — Nie zły jesteś chłopiec, na swój sposób, Jim, ale jabym już z tobą nie wyruszył na morze! Zanadto jesteś samowolny. Co! i ty wróciłeś, Johnie Silver? Cóż cię tu sprowadza?

— Powracam do moich obowiązków, sir — odparł Silver.

— A! — powiedział kapitan i nie rzekł już nic więcej.

Z jakimże apetytem jadłem kolacyą tego wieczora w otoczeniu moich przyjaciół! Jakże mi smakowała solona kozina Ben Gunn'a i różne przysmaki, zabrane z Hispanioli wraz z butelką starego wina. Nigdy w życiu nie czułem się szczęśliwszy i weselszy! A Silver usiadł sobie nieco w oddaleniu, ale jadł, aż mu się uszy trzęsły, zrywając się co chwila, aby usłużyć komu, wtórując z cicha naszemu śmiechowi, pokorny, ugrzeczniony i płaszczący się, jakim go znaliśmy z czasów podróży!

ROZDZIAŁ XXXIV.

Wreszcie. . . . .

Nazajutrz od samego ranka zabraliśmy się do pracy, gdyż przeniesienie tej wielkiej masy złota do oddalonej trzy mile zatoki i stamtąd do stojącej w trzech milach odległości Hiszpanioli, było nielada zadaniem dla tak małej ilości pracowników. Trzej majtkowie, pozostali na wyspie nie przyczyniali nam wielkiej trwogi. Jeden z pośród nas stawał na straży na stoku wzgórza, strzegąc, abyśmy nie zostali znienacka zaskoczeni. Zresztą byliśmy pewni, że przeciwnicy nasi mają już więcej niż dosyć walki.

Robota postępowała szybko. Gray i Ben Gunn krążyli nieustannie na łodzi pomiędzy zatoką a Hispaniolą, podczas gdy inni przenosili złoto na brzeg. Dwie sztaby złota zawieszone na dwóch końcach liny, stanowiły dostateczny ładunek dla dorosłego człowieka, zaledwie się poruszał pod jego ciężarem. Co do mnie, ponieważ nie na wiele mogłem się przydać przy przenoszeniu, powierzono mi zsypywanie monet do worków od sucharów.

Była to dziwna zbieranina najrozmaitszych pieniędzy, podobnie jak w trzosie Billy Bones'a, a o ileż obfitsza i bardziej urozmaicona! Sortowane ich sprawiało mi prawdziwą przyjemność. Angielskie, francuskie, hiszpańskie, portugalskie monety, luidory, dublony, złote imperyały i podwójne gwinee, cekiny i inne z wyobrażeniem wszystkich królów Europy za przeciąg ostatnich stu lat, dziwaczne monety wschodnie, okrągłe i kwadratowe, przekłóte w środku, jak gdyby do noszenia na szyi, zdaje mi się, że wszystkie monety świata były reprezentowane w tym zbiorze. Było zaś ich tyle, co liści na drzewie, aż mię palce bolały od ciągłego grzebania pomiędzy niemi.

Dzień po dniu schodził nam na tem zajęciu. Każdego wieczora spławialiśmy cały majątek na pokład Hispanioli, a nazajutrz nowy majątek oczekiwał swej kolei. Przez cały ten czas trzej pozostali przy życiu rokoszanie nie dali niczem znać o sobie.

Wreszcie raz, było to zdaje się trzeciego wieczoru, gdy doktor i ja przechadzaliśmy się na stoku wzgórza, skąd rozciągał się daleki widok na nizinę, dolećiały nas z pośród gęstych ciemności w dole, przywiane wiatrem jakieś krzyki, niby śpiew, niby jęki. Pochwyciliśmy zaledwie kilka urwanych dźwięków i znowu zapadło milczenie.

— Boże, przebacz im — zawołał doktor.

— To buntownicy.

— Wszyscy pijani, sir — odezwał się głos Silvera po za nami.

Należy dodać, że Silverowi pozostawiono zupełną swobodę i pomimo iż traktowano go w sposób pogardliwy, uważał on się znowu za uprzywilejowanego i przywiązanego sługę. Było zdumiewającem prawdziwie,, z jaką niezmaconą ani na chwilę cierpliwością i pogodą znosił on wszelkie ukłócia, z jaką niezmordowaną pełną ugrzecznienia pokorą i gorliwością starał się on znowu zakraść w nasze łaski. Mimo to wszakże wszyscy traktowali go nie wiele lepiej, niż psa, oprócz chyba mnie i Ben Gunna. Ben Gunn wciąż jeszcze nie mógł pozbyć się dawnej trwogi przed swoim dawnym kwatermistrzem, ja zaś istotnie zawdzięczałem Silverowi moje ocalenie. Co prawda właśnie z tego względu mogłem mieć o nim gorsze pojęcie, niż ktokolwiek inny, bo widziałem wyraźnie, jak knuł nową zdradę na płaskowzgórzu, w drodze do chybionego skarbu.

To też na ostatnią jego uwagę, doktor odmruknął dość kwaśno:

— Pijani, lub poszaleli z gorączki — rzekł.

— Masz pan słuszność, sir — odparł Silver. — A w gruncie rzeczy mało nas to obchodzi.

— Mister Silver — odciął doktor ostro. — Nie żądasz chyba, abym żywił zbyt wysokie wyobrażenie o twojem poczuciu ludzkości, wszakże żdziwi cię niezawodnie to, co ci powiem. Gdybym wiedział z pewnością, że ludzie ci giną z gorączki, jak jestem o tem moralnie przekonany, a w każdym razie jeden z nich już przed paru dniami był chory, poszedłbym do nich natychmiast, bez względu na grożące mi niebezpieczeństwo i podał im pomoc, na jaką by stać było moją wiedzę doktorską.

— Z przeproszeniem pańskiem, sir, zrobiłbyś pan bardzo źle — zaprzeczył gorąco Silver. — Możesz pan być pewnym, że przypłaciłbyś to życiem. Jestem teraz oddany panom duszą i ciałem i wcale nie życzyłbym sobie, aby się nasze towarzystwo uszczupliło, nie mówiąc już o tem, że panu osobiście jestem wiele obowiązany, Ostrzegam pana, że ci ludzie nie potrafiliby dotrzymać słowa, nawet gdyby chcieli, a co więcej, nie byliby zdolni uwierzyć, że pan dotrzymasz słowa.

— No, no, — machnął ręką doktor — ty także pięknie dotrzymujesz słowa, wiemy coś o tem.

To były ostatnie wieści, jakie nas doszły o trzech piratach.

Raz tylko usłyszeliśmy daleki wystrzał z fuzyi, skąd wnieśliśmy, że polują. Na złożonej naradzie postanowiono pozostawić ich na tej wyspie, co wywołało wielki zachwyt Ben Gunn'a i zupełne uznanie Abrahama Gray'a. Pozostawiliśmy dla nich znaczny zapas prochu i naboi, moc solonej koziny, szkatułkę z lekarstwami, trochę narzędzi, odzieży, zbywający żagiel i parę sążni sznura, oraz kilka dużych paczek tytoniu w prezencie.

To było ostatnią naszą czynnością na wyspie. Złożywszy skarb na okręcie, nabraliśmy dostateczny zapas wody i pozostałą resztę solonej koziny, na wypadek jakiego nieszczęścia. Wreszcie, pewnego pięknego poranku, podnieśliśmy kotwicę, co nas kosztowało wiele trudu, ponieważ było nas tak niewielu i wypłynęliśmy z zatoki północnej, rozwinąwszy na okręcie tę samą flagę, którą kapitan zatknął i której bronił na palisadzie.

Trzej piraci musieli śledzić nas daleko baczniej, niż

przypuszczaliśmy, jak to się wkrótce okazało. Wypływając z cieśniny na pełne morze, musieliśmy okrążyć dość z bliska przylądek południowy — i tu ujrzeliśmy wszystkich trzech nieboraków, klęczących na wydłużonym cyplu piaszczystym, z wyciągniętemi błagalnie rękoma.

Serce ścisnęło nam się przykrem uczuciem na ten żałośny widok. Ale nie mogliśmy ryzykować nowego rokoszu. Zresztą, wyrządzilibyśmy im dość marną usługę, zabierając ich z sobą, gdyż w kraju spotkaliby się niezawodnie z sądem i szubienicą. Doktor zawołał na nich głośno i powiedział im o zapasach, jakie pozostawiliśmy i wskazał, gdzie je znajdą. Ale oni wzywali nas wciąż po imieniu, zaklinając na miłość Boską, żebyśmy się ulitowali nad nimi i nie rzucali ich na pewną śmierć na tej bezludnej wyspie.

Nareszcie widząc, że okręt się nie zatrzymuje, przeciwnie, oddala szybko, jeden z nich, nie wiem, który, zerwał się z dzikim okrzykiem, chwycił muszkiet i dał do nas ognia. Kula świsnęła po nad głową Silvera i utkwiła w wielkim żaglu.

Pochowaliśmy się więc po za burty i maszty, ale oni już więcej nie strzelali, a gdy po niejakim czasie wyjrzałem na wybrzeże, nie było już nikogo na przylądku, który także znikał już z oczu.

Tak się skończyły nasze przygody na wyspie. Około południa, ku mojej nieopisanej radości, najwyższy szczyt Wyspy Skarbów pogrążył się w niebieskiej mgle morza.

Było nas tak niewielu, że wszyscy musieliśmy pomagać w pracy na pokładzie, tylko kapitan leżał na materacu na przodzie okrętu i wydawał rozkazy, gdyż choć już znacznie przyszedł do zdrowia, potrzebował jeszcze zupełnego spokoju. Skierowaliśmy się do najbliższego hiszpańskiego portu w Ameryce, gdyż bez świeżej załogi nie podobna było myśleć o powrocie do kraju. I tak w czasie tej krótkiej stosunkowo żeglugi, upadaliśmy niemal z wyczerpania, zwłaszcza, że spotkały nas w drodze burze i wiatry przeciwne.

Słońce zachodziło właśnie, gdy zawinęliśmy do prześlicznej zatoki, gdzie natychmiast okrążyły nas niezliczone łodzie murzynów, Indyan meksykańskich i mulatów, którzy sprzedawali nam owoce, oraz inne południowe płody, ofiarując się przewieść na ląd za skromnem wynagrodzeniem. Widok uśmiechniętych twarzy krajowców (zwłaszcza murzynów), wyborny smak podzwrotnikowych owoców, a szczególniej światła, które zapłonęły w mieście, wywarły na nas najmilsze wrażenie, tak dziwnie nie licujące z ponuremi i krwawemi wspomnieniami naszego pobytu na wyspie. Doktor i esquire, zabrawszy mię z sobą, pojechali na brzeg. Tu spotkali komendanta jakiegoś wojennego okrętu angielskiego i zapoznawszy się z nim, pojechali na jego okręt, gdzie spędziliśmy czas tak mile, że dopiero o świcie dnia następnego powróciliśmy na Hispaniolę.

Ben Gun pozostał sam na pokładzie i skoro tylko zjawiliśmy się z powrotem, zaczął wśród nader zabawnych ruchów i wykrzywiania postaci, usprawiedliwiać się przed nami z przewinienia, jakie popełnił. Silver drapnął. Marron ułatwił mu ucieczkę na wynajętej łodzi przed kilku zaledwie godzinami. Upewniał nas, że uczynił to tylko w obawie o nasze życie, które było w ciągłem niebezpieczeństwie, póki jednonogi znajdował się na pokładzie. Ale to nie było wszystko. Nasz kucharz nie oddalił się z pustemi rękoma. Wyciąwszy otwór w przepierzeniu magazynu, porwał worek pieniędzy, zawierający może trzysta lub czterysta gwinei, na koszty swej dalszej podróży.

Zdaje mi się, iż wszyscy byliśmy bardzo radzi, żeśmy się go pozbyli tak tanim kosztem.

Otóż, kończąc rzecz krótko, skompletowaliśmy z łatwością załogę i po szczęśliwej powrotnej podróży Hispaniola wpłynęła do portu w Bristolu właśnie w chwili, gdy mr. Blaudly zamyślał już o wysłaniu po nas ratunkowego okrętu. Pięciu ludzi tylko z pierwotnej naszej załogi wróciło do kraju. — „Pijcie, a dyabeł dokona reszty“ — i dokonał jej z odwetem. Choć bądź co bądź nie było jeszcze z nami tak źle, jak z tym innym okrętem, o którym śpiewali piraci.

— „Siedmdziesięciu ich wyszło za morze,

Lecz żaden nie wrócił, nieboże!“

Każdy z nas otrzymał swoją część ze skarbu i użył jej mądrze lub płocho, odpowiednio do swego usposobienia. Kapitan Smollet wystąpił ze służby marynarskiej. Gray nietylko nie strwonił swych pieniędzy, ale zapłonął ambitną żądzą wywyższenia i począł studyować swe rzemiosło. Jest obecnie szyprem i częściowym właścicielem pięknego okrętu. Ożenił się i ma liczną rodzinę. Co do Ben Guun'a dostał on swoje tysiąc funtów i przehulał je czy stracił w ciągu trzech tygodni, a raczej dziewiętnastu dni, gdyż dwudziestego już nie miał ani złamanego szeląga przy duszy. Wtedy zrobiono go odźwiernym, jak się tego obawiał na wyspie. Żyje dotąd i jest wielkim ulubieńcem całej okolicy, choć czasami miewa zajączki, a w niedziele i dnie powszeświąteczne należy do najgorliwszych śpiewaków na chórze kościelnym.

O Silverze wszelki słuch zaginął. Ten straszny żeglarz jednonogi przestał wreszcie, dzięki niebu, grać rolę w mojem życiu. Przypuszczam, że musiał złączyć się gdzieś ze swoją starą murzynką i może dotąd żyje szczęśliwy i spokojny razem z nią i kapitanem Flintem.

Można się tego spodziewać, gdyż szanse jego szczęśliwości w przyszłym świecie są bardzo małe.

Druga część skarbu, srebro w sztabach i broń — spoczywa dotąd, o ile mi wiadomo, nietknięta na wyspie, tam, gdzie ją Flint zagrzebał.

I niech spoczywa w spokoju. Żadna siła w świecie nie skłoni mię nigdy do powrotu na tę przeklętą wyspę. Czasem we śnie — jak zmora — dusi mię jej wspomnienie.

Słyszę głuchy szum fal, rozbijających się o jej wybrzeża i zrywam się w przerażeniu na łóżku, a w uszach dźwięczy mi wrzaskliwy głos kapitana Flinta:

— Dukaty! dukaty! dukaty!

Koniec.